AS

Nr. 47

22 LISTOPADA 1936.
CENA 40 GROSZY



»BLOND WENUS«

Spis nowel

DOPUSZCZONYCH DO KONKURSU „ASA"

CIĄG DALSZY.

159. *Przez oko do pióra* — Duże cyganerje.
160. *Anoli* — Wojtuś.
161. *Dzień* — Narodziny radosnego rzemiosła.
162. *Widz* — Drogi życia.
163. *Jacek* — Uwodziciel i naiwna.
164. *Domino* — Tańczące pantofelki.
165. *Błyskawica* — Nagroda.
166. *Sprawiedliwość* — Ostatni wybuch.
167. *S. E. 1434* — Zwycięstwo.
168. *Lud* — Chata Barylów.
169. *Szatan* — Realista.
170. *Jadwiga* — Warjat.
171. *Jan Ram* — Bez szalika.
172. *Marie Antoinette* — Mamo przebacz.
173. *Osiemnastolatka* — Deszcz w słońcu.
174. *Cis* — Skradziony dokument.
175. A. *Gwiazdor* — Napoleon nam przyrzekł.
175. B. *Gwiazdor* — Pora szczęścia.
176. *Nigdy inaczej* — Gdy jeden zwycięża.
177. *Samuraj* — Klucz.
178. *Orlę* — Ojczyzna jego matki.
179. *Aldous* — Bezdroża.
180. *Sfinks* — Księżniczka Ołali.
181. *Przeloty* — Grzelowa kobita.
182. *Dunajec* — Życie jest piękne.
183. *Jasieńczyk* — Pojedynek poety.
184. *Beata l alma ove non come tempo* — Złamana grusza.
185. *Hoczkis* — Pół godziny gimnazjum.
186. *Promień* — Szczęście z ekranu.
187. *Żar* — Baba Chryścią.
188. *Szatan* — Hanka.
189. *Sowa* — Humoreska o świętym z Wólki Mizernej.
190. *Zobaczymy* — Dla ciebie Polsko.
191. *Zefir* — Czyja własność.
192. *Nina 45* — Czarny narcyz.
193. *Zazaula* — Zawiodła się panna Stefcia.
194. *Sercem gryzę* — Grafoman.
195. *August Stanisław* — Nędza robotnika.
196. *Sigma* — Zaproszenie na bal.
197. *Homo* — Głupi Wicek.
198. *Kruk* — Szczęśliwa Kraksa.
199. *Per Bacco* — Pies.
200. *Elte* — Szklanka mleka.
201. *Dziwożona* — Kochany Klaudjusz czyli zdrada małżeńska.
202. A. *„Punkt Iks* — Opowiadanie, które niema ani początku ani końca.
202. B. *Punkt Iks* — Przy butelce.
203. *Viola Tricolor* — Głodny Wojtek.
204. *Przebudzenie* — Promień w odmętach.
205. *Szary proch* — Oczyma dziecka.
206. *Wal* — Rybak.
207. *Veritas* — Pierwsza miłość kierownika Bryły.
208. A. *Ślepowron* — Złoty wawrzyn.
208. B. *Ślepowron* — Sen o miljonie.
209. *Odrowąż* — Omyłka.
210. *Krziwań* — Śnisko.
211. *R. A. T. S.* — Ojczyzna i miłość.
212. *Z psiej i ludzkiej doli* — Matki.
213. *Tramp* — Niejaki Karol.
214. *J. M. 3.* — Krepdeszyna.
215. *„XIV"* — Jakbądź to nieprawda!
216. *Ti-Lip* — Człowiek z katarynką.
217. *Sygnaty* — Tajemnica.
218. *Ex ungue leonem* — Tajemnica trójmasztowca.
219. *Złoty kłos* — Polowy Marcin.
220. *Próba* — Święcone.
221. *Na stary temat* — Jak powój...
222. *Niedyskrecja* — Zagmatwana historja.
223. *Gong* — Weronka.
224. *„40054"* — Czy Henek jest chory.
225. *„Kormety"* — Perbol.
226. *A-HA* — Pan Hatuszyński.
227. *Beroes* — Konkurs i panna.
228. *„Em"* — Operacja.
229. *A. Wczorajsze jutro* — Zguba.
229. *B. Wczorajsze jutro* — Pan Król.
230. *„El-esowicz"* — Szyb płonie.
231. *Sewczyn* — Odcięte skrzydła.
232. *Górnicy* — Czad.
233. *Lis* — Pan doktor.
234. *Pęknięta karta* — Bez żalu.
235. *Kotwica* — Konfrontacja.
236. *Pantha rei* — Zagadka.
237. *Tryton* — Przyjaciel czy wróg?
238. *Veritas* — Ziemia obiecana.
239. *Rara avis* — Trzy uśmiechy.
240. *Zdan* — W aptece.
241. *Julja* — Jej pierwsza miłość.
242. *Jur-wicz* — Idjota.
243. *Logos* — Dług.
244. *Wicz* — Opowiastki p. Stryckiego.
245. *Romp* — Rewolucjonista.
246. *Els* — Ludzie suteryny.
247. *On* — Garbusek.
248. *Georg Martin* — Letnisko — Korczuck-Dwór.
249. *Akacje* — Od słowika do słowika.
250. *Na los szczęścia* — Dusze ludzi i domów.
251. *Sunt Lacrimae rerum* — Jontyka.
252. *Jacków Konstantów* — Powrót psa.
253. *Larysza* — Pożegnanie.
254. *Puklerz i miecz* — Ostatnie wcielenie Henryka z Kaniowa.
255. *Kropla* — Świat to absurd.
256. *Pourquoi* — Cztery rundy.
257. *Stenia* — Virtuti Militari.
258. *Lamus* — Dziunia.
259. *Credo qui absurdum* — Łaska Niebios.
260. *Leda* — W klatce.
261. *Branco Stasic* — Burza nad św. Jakóbem.
262. *Rtęć* — Twój powrót.
263. *Rex* — Nowy tydzień Stefana.
264. A. *Ślepowron* — Narkotyk.
264. B. *Ślepowron* — Ostatni zawód.
265. *J. B. S. — 2 I* — Nowy kopciuszek.
266. *Jasna* — Pokochaj duszę moją.
267. *Józefina* — Pogrzeb matki.
268. *Nasza młodość* — Epizod.
269. *Wiosna życia* — Praktykant.
270. *Maya* — Pierścień.
271. *Wiesław 119* — Oni.
272. *Z. K. R. — 25* — Zdrada.
273. A. *Krzywda* — Na pochylni.
273. B. *Krzywda* — Tatusiu.
274. *Zasański* — Bajka z Pelemeli.
275. *Na górze róże, na dole fiołki* — Czarne znamię.
276. *Maska* — Psiakrew.
277. *Fatalisa* — Podpora starości.
278. *S. S.* — Rozkaz śmierci.
279. *Ultimo* — Ach! Ty!
280. *Łamibuk* — Michał.
281. *Nowe drogi* — Przed okienkiem.
282. *Ilonka* — Gdybyśmy mieli pieniądze.
283. *E pur si muove* — Żongler.
284. *Mizantrop* — Bajka mydlana.
285. *Malore tout* — Julienne.
286. *Starszy pan* — W boru po łowach.
287. *Rajmund* — Ballada o koniu.
288. *Trzynastka* — Królewska pszenica i dziki mak.
289. *Ziemia dobrzyńska* — Odwiedziny.
290. *Ali J. S. U.* — Za wolność.
291. *Wierchy* — Pieśń wiosenna Bronki.
292. *Rena* — Nauczyciel.
293. A. *Lechita* — Przygoda nieboszczyka.
293. B. *Lechita* — Zbieg.
294. *Alba 24* — Bilczakowa.
295. *Don Humorek* — Pierożek.
296. *Babie lato* — Zagadka.
297. *Ktoby myślał* — Daltonizm miłości.
298. *Za górami* — Niedokończony obraz.
299. *Łubiny* — Lufy i łupiny.
300. *Katabanio* — Krokodyl poleski.
301. *Konkurs noweli* — Operacja.
302. *Godło?* — Kismet.
303. *Prośba* — Wpływ kolegów.
304. *Puk* — Prawo przypadku.
305. *Bartodzieje* — Jesienne mgły.
306. *189088* — Wizja Wyspiańskiego.
307. *Sokół* — Galluschka.
308. *Pierwszy raz* — Leśna przygoda.
309. *Korsarz* — Ucieczka.
310. *Ananas* — Dziwna przygoda pana Zborskiego.
311. *Horyń* — Spiridonowe konie.
312. A. *Soból i panna* — U kresu.
312. B. *Soból i panna* — Caritas.
312. C. *Soból i panna* — Złomek jedliny.
313. *Juvenis* — Jędrkowa dola.
314. *La donna e mobile* — Kobieta zmienną jest.
315. *Pan Taflin* — Knajpa i pół księżyca.
316. *Chłop* — Pietryna.
317. *98697* — Historja o Piotrze.
318. *Mar* — Moja pierwsza kolacja.
319. *Kabo* — Ulewa.
320. *Bahnowce Polesie* — Pietrek.
321. *11 listopada 1936* — Jego ożenek.
322. *Ujejski* — Piłka
323. *Gnomon* — Cichy wspólnik.
324. *Krywań* — Mgła.
325. *19 kwietnia* — Kwiaty z granitu.
326. *Mniejwięcej* — Drzwi.
327. *Petit* — Młoda miłość
328. *S. H. Offside* — Derby.
329. *Czerwiec* — Opowieść banalna.
330. *13 X* — Powrót i dziewczyna.
331. *Kronikarz* — Stary Bloff.
332. *Mitręga* — Stracone szczęście.
333. *Z nowych dróg* — Walka o chleb.
334. *Osti* — Śląski patrjota.
335. *Izet* — Nieznajoma.
336. *Dori* — Przysięga skrzypka.
337. *Justitia* — Sprawiedliwości stało się zadość.
338. *Kresowianka* — Bajka a rzeczywistość.
339. *Wesoła syrena* — Trening miłości.
340. *Kartoflarz* — Marysia.
341. *Śląsk* — Dla ciebie.
342. *Niesamowity wir* — Małżeństwo Mili.
343. *J. 44 P.* — Umiłowanie.
344. *Proszę przeczytajcie do końca* — Walenty Świerk.
345. *Percininus* — Lidoczka.
346. *Azais* — Spóźniona miłość.
347. *Azais* — Kłótnia.
348. *Azais* — Taki sobie obrazek.

Ciąg dalszy nastąpi.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ

KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.

KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66

KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 47 **Niedziela 22 listopada 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 47-GO:

Jedną z największych i najbarwniejszych uroczystości Londynu, to wybór, a następnie uroczyste wprowadzenie do budynku Guildhall'u nowego lorda mayora. Zanim nowy burmistrz obejmie urzędowanie, musi otrzymać potwierdzenie królewskie, a następnie, po odbyciu wielu ceremonij, wydaje wspaniałe przyjęcie w gotyckim pałacu londyńskiego mieszczaństwa — Guildhall'u, na którem nie brak nigdy najwybitniejszych reprezentantów politycznego i towarzyskiego świata. Oczywiście, że nowemu burmistrzowi, ubranemu w staroświeckie szaty, towarzyszą w uroczystościach insygnja jego władzy: olbrzymi miecz i niemniej wielkie berło. Ostatnio Londyn wybrał nowego burmistrza w osobie sir George'a Broadbridge'a, znanego architekta, który przez 40 lat pracował nad eksploatacją bogactw mineralnych w różnych częściach imperium brytyjskiego. Na naszej fotografji widzimy fragment wspaniałego bankietu, wydanego przez sir George'a widocznego w środku zdjęcia. Na przyjęcie zaproszony był również b. premjer MacDonald, polski minister spraw zagranicznych płk. Beck, ustępujący lord mayor Kilik i wielu innych.

Fot. Sport General — Londyn.



Wspaniały widok na jezioro Luizy w „Banff National-Park" w Kanadzie. *Presse-Photo.*



KANADA

wyczarowana pendzlem swoich malarzy

Malownicze, rozciągające się na przestrzeni 9,4 miljonów km. kwadr. bogate Dominjum W. Brytanji — Kanada, nasiąkło w ubiegłych wiekach francuską kulturą, jako związane w jeden państwowy organizm z królewską Francją.

Przypomnijmy, iż Giovanni Verrasini w 1506 r. zdobył na czele ekspedycji wojskowej ten kraj dla Francji, a w r. 1608 gubernator francuski Champlain założył stolicę Quebeck. Niestety Francja nie zdawała sobie w tej epoce sprawy z olbrzymiej wartości tych ziem dla kultury i bogactwa metropolji i lekkomyślnie straciła go w pokoju paryskim w 1763 r., oddając te olbrzymie terytorja rządowi angielskiemu po przegranej wojnie.

Kraj ten zwano wtedy Nową Francją: Francuski ksiądz, żołnierz i robotnik prowadzili w Kanadzie cywilizacyjną pionierską pracę, w surowych warunkach klimatycznych i wśród ciągłych walk z tubylcami.

Dzika niegdyś Kanada — większa jej część pokryta była lasami i pełna wielkich, rwących rzek — była krajem, który dzięki swym walorom naturalnym, swym wspaniałym krajobrazem stał się wdzięcznym tematem dla malarzy. I nic w tem dziwnego: wszak oczy artysty nie mogły bez głębszego wewnętrznego echa spoczywać na groźnych w swej ponurości widokach, jakie roztaczały się z szczytów górskich. Ta piękność Kanady zdziałała też, że większość malarzy miejscowych, to pejzażyści, lubujący się w wspaniałych kontrastach, spotykanych na każdym kroku. Każdy niemal fragment tej pięknej natury stanowi wdzięczny temat: o skałę uderzają spienione morskie bałwany, napełniając powietrze hukiem i groźnym rykiem, samotną sosnę, rosnącą na wzgórzu, szarpią głodne ramiona wiatru, wąwozem posuwa się stado bydła, pędzone przez pastucha, tworząc barwną, brunatno-białą plamę na szarej drodze. Natura Kanady wyciska też charakterystyczne piętno na malarstwie, dostarczając mu tematów specjalnego rodzaju. Mimo wielkich miast, jakie powstały zczasem na terytorjum Kanady, nie one nadają ton temu krajowi, lecz wieś, a raczej olbrzymie puste przestrzenie, na których tylko zrzadka rozsiani są osadnicy. Bez przesady można powiedzieć, że nazwa „Kanada", oznaczająca w języku tubylców chatę, a która stała się dzięki nieporozumieniu zdobywców tej ziemi z tubylcami określeniem tego olbrzymiego terytorjum, do dziś dnia dobrze charakteryzuje ten piękny, dziki kraj, gdyż współczesna kultura nie zdołała jeszcze skomercjalizować go i zohydzić.

Wpływ wielkiej kultury francuskiej z okresu Ludwików, odbił się na drugiej półkuli już wówczas, w postaci architektury licznych kościołów i zameczków, stawianych w Kanadzie przez francuskich budowniczych, począwszy od XVII wieku. Dziś istnieją jeszcze zabytki z tego okresu kultury, jak zamek Ramezay i kościół w Montrealu, zbudowany w r. 1660, ozdobiony portykiem, złożonym z pięknych korynckich kolumn.

Pierwszymi malarzami w Kanadzie w wieku XVII byli bracia Lefrançois, zwani także Frère Luc, po których pozostała do dzisiejszego dnia w szpitalu w Quebeck kompozycja olejna Ecce Homo, oraz inne obrazy religijne w bazylice, zbudowanej wówczas przez architekta Claude Bailifa.

Założycielem malarskiej szkoły francuskiej w Kanadzie był Louis Querillon (1749—1823), inżynier-architekt i malarz. Pod jego wpływem żyły dwie generacje artystów kanadyjskich. Do nich należeli plastycy: Józef Pepin, Labrosse, Dugal, Barrette, Toussaint, Verdon, Beauvais. W wieku XVIII nastał



Powyżej: „Zawierucha listopadowa" — pendzla Artura Lismera



Na prawo: „Woły przy wodopoju" — obraz Horatio Waltera.

okres zaciekłych walk pomiędzy angielskiemi protestantami a francuskiemi katolikami. Kultura kraju tak pięknie rozpoczęta przez Francuzów, poczęła się cofać i ginąć.

W tej epoce największym rzeźbiarzem kanadyjskim był Filip Hébert, twórca licznych pomników bohaterów kanadyjskich, upiększających fronton i wnętrze pałacu rządowego w Quebeck. Dzieła te stworzył Hebert na wzór posągów bohaterów, zdobiących pałac zamkowy w Wersalu.

Znakomitym malarzem kanadyjskim był Beaucourt, urodz w r 1735, syn oficera. Studja swe, jak większość kanadyjskich artystów, odbył we Francji. Jako portrecista zasłynął L Delogpre, urodzony w 1778 r., a znanym pejzażystą był Gilbert Newton z Halifaxu, zmarły w 1855 r. w Londynie. Do hołdujących kierunkom historycznego malarstwa należał Charles Huot, twórca cyklu obrazów, wzorowanych na kompozycjach Dawida. Jeden z nich przedstawia moment historyczny zwołania pierwszego parlamentu kanadyjskiego. Huot jest autorem cyklu kompozycyj malarskich z historji Kanady. Do ostatniego pokolenia artystów kanadyjskich należył Teodor Berta i Otto Jacobi, Niemiec, twórca anegdotycznych sceneryj. Życie Indjan malował Paul Kane, zmarły w 1871 r., znany ilustrator powieści Mayne Reida i F. Coopera. W tym okresie działali uczniowie Gerôma, Wyatt, Eatton, Blair-Brice, Poll Peel i Robert Fleury.

Nowoczesną epokę rozpoczyna mistrz Horatio Walker, wychowanek szkoły barbizońskiej.

Artystyczna twórczość kanadyjska, związana tak silnemi węzłami z Francją z trudem wielkim wyzwala się z pod ostatnich wpływów angielskich i rozpoczyna walkę o niezawisłość i swój odrębny artystyczny wyraz.

Malarstwo historyczne oraz ilustracje etnograficzne nie tworzą bynajmniej pnia, z którego rozwija się dojrzała sztuka plastyczna, posiadająca swój odrębny artystyczny charakter i własną formę.

Kanada, podobnie jak Stany Zjednoczone, podlega w zupełności wpływom artystycznym i podnietom wiejącym w sprawach kierunków artystycznych z starego lądu.

Wielcy artyści amerykańscy, jak James Mac Neill Whistler, twórca genjalnego „Portretu matki", znajdującego się w Luwrze, tęsknili zawsze do Europy, i tak jak Whistler znajdowali pełnię zadowolenia artystyczne w kraju Tintoretta i Tycjana, czy też nad Tamizą.

Kanada posiadała wszelkie środki materjalne, aby zabezpieczyć byt artystów i ciekawe zbiory. W tem celuje „Laval University", który zebrał w swojej galerji niezmiernie cenne dzieła Velasqueza, Rubensa i mistrzów francuskich i angielskich. W XIX w. powstaje malarstwo stworzone przez przybyszy z zachodu, jak Berthona, P. Kanego, Jacobiego (z Królewca), Krieghofa z Rotterdamu.

Krieghoff tworzy typy Indjan, Jacobi zaś subtelizuje pejzaże kanadyjskie, Berton tworzy portrety. W r. 1872 powstaje „Ontario Society of Artists", skupiające dzieła plastyków kanadyjskich, jak Prasera, Millarda, Mathewsa, Hicha i Marzina.

Drugą placówką popierającą artystyczną twórczość jest „Montreal Art Association" oraz „Royal Canadian Academy" (Królewska Akademja Sztuk Pięknych). W drugiej stolicy kanadyjskiej Toronto, działa energicznie i rozwija się „Canadian Arts Club".

Wokół tych towarzystw i akademij jednoczą się i działają coraz liczniejsi artyści kanadyjscy, urzeczeni dziwnym czarem ojczystej ziemi. Coraz więcej i częściej patrzą własnemi oczyma na ten bogaty i piękny kraj, coraz bardziej zatracają narzuconą im obcą manjerę.

Wśród współczesnych artystów kanadyjskich wysuwa się na plan pierwszy Horatio Walker, zwany „Milletem Kanady". Tworzy on liczne pejzaże olejne, przesiąknięte światłem i żarzące się sentymentem. Malarzem szerokiego rozmachu kompozycyjnego jest Homer Watson. — Archibald Browne zdobywa bogaty indywidualny wyraz w swych krajobrazach. Wielką łatwością techniczną odznaczają się dzieła Kl. Gagnona i E. Attinsona. Jako portrecista słynie Mr. Brynner prezes klubu plastyków w Toronto.

Na prawo: „Krajobraz północny" — pendzla Thomsona.

Na lewo: „Samotna sosna" — Tom Thomsona. (1877—1917).

Gagnon wystawia często w Europie i zdobywa liczne nagrody podobnie, jak i Wattson, nagrodzony złotym medalem w r. 1901 w Bufallo.

Kanadyjczycy współcześni dążą stale do oddania w swej sztuce kolorytu lokalnego i do zdobycia własnych wartości twórczych.

W r. 1920 powstała „Grupa 7-miu", mająca zadanie pielęgnować ideały narodowej sztuki. Do niej należą Harris, A. Jakson, A. Lesmer, J. E Macdonald, F Johnson i F Vorley

Skrajne prędy artystyczne, mimo licznych usiłowań i działalności ruchliwej międzynarodowych agentów i handlarzy sztuki nie przyjęły się w Kanadzie.

Kanadyjskie malarstwo szuka własnej drogi i głębokich wartości leżących w ich sumiennej pracy oraz w ich artystycznych indywidualnościach.

Społeczeństwo i rząd otacza troskliwą opieką swych twórców. Liczne zakupy i fundacje ułatwiają pracę artystyczną. Bezrobotni malarze i rzeźbiarze otrzymują pomoc materjalną w tej wysokości, co najwyższa kategorja pracowników umysłowych.

„Lewicę" artystyczną reprezentuje grupa artystów z Ontario „College of Arts", która nie zyskała sobie żadnego uznania. Urządzona w r. 1930 wystawa tow. „Ontario Society of Artists" wykazała nieobecność wszelkich skrajnych tendencyj artystycznych.

Artyści kanadyjscy, żyjący wśród olbrzymich przestrzeni, zdobywanych dla



„Zimowy obrazek" — pendzla Maurice G. Cullena (1866—1934).



Poniżej: „Wieś w górach św. Wincentego" — obraz Clarence A. Gaggona.



cywilizacji przy pomocy niesłychanie rozwiniętej techniki XX wieku, mają w swej twórczości rozmach i świeżość młodego narodu, wychowanego na dobrej, starej artystycznej tradycji i marzącego słusznie o wielkiej swej kulturalnej przyszłości.

MDD.

ZDJĘCIA FOT. SOMOGYI — BERLIN.

HISTORJA PASKA



Poniżej: Średniowieczny pas z dzwonkami, noszony przez ramię.

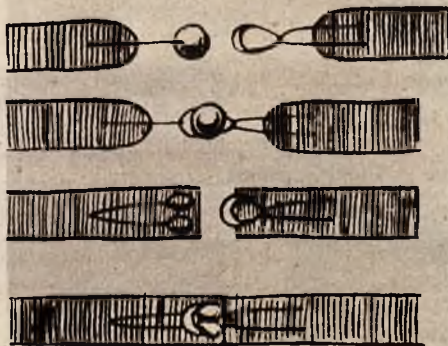
Na lewo: Pas słucki z napisem „Me fecit Sluciae".

Żadna może część naszego ubrania nie miała w swym rozwoju takiego znaczenia, jak obecne skórkowe lub z materjału sporządzone cacko, otaczające smukłą sylwetkę pięknej pani: pasek.

W rozwoju dziejów przynoszących wraz ze zmianą stosunków politycznych, także zmiany obyczajowe, a co za tem idzie i warjanty mody, pas względnie pasek w ubiorze odgrywał rolę bardzo dużą.

Już w starożytnym Egipcie, gdzie jedynym ubiorem dla mężczyzn była chusta opasująca biora, spotykamy pasek, do którego owa chusta była przymocowana. Rozpatrując zaś strój rzymski, klasyczną tunikę, wolną i obszerną w kroju, jak gdyby koszulę, zauważymy, że jest ona przepasana, a posiada to tem większe znaczenie, że sposób umieszczania owego przepasania określał nietylko różnicę stanu i pochodzenia, ale też płeć. Krój bowiem tuniki był identyczny dla kobiet i mężczyzn, z tą tylko różnicą, że kobiety przepasywały się niżej, męczyźni wyżej, najkrócej zaś żołnierze. Przepasanie musiało wypadać w samych biodrach, gdyż tunika powinna była spadać poza kolana, a przez ściągnięcie jej paskiem osiągano odpowiednią jej długość. Nieprzepasywanie się uważano za najwyższe niedbalstwo i tolerowane było tylko wśród najniższych warstw ludności.

Właściwe swoje stanowisko zdobędzie jednak pas w okresie średniowiecza. W początkach wieków średnich, pod wybitnym wpływem wschodu w w. XI i XII nastąpi ostateczne rozgraniczenie między strojem męskim i kobiecym, a długa i fałdzista szata wymagała ściągnięcia jej paskiem. W okresie feudalizmu tak charakterystycznego dla pierwszej połowy średniowiecza, pas ma również znaczenie socjalne. W państwach wybitnie stanowych wręczanie przy pasowaniu na rycerza giermkowi ostróg i pasa rycerskiego stanowiło symbol wprowadzenia jednostki do pewnej upczywilejowanej warstwy ludności. W języku polskim charakterystyczną jest już sama nazwa ceremonji „pasowania". Trudno dziś dokładnie dociec, jak owe rycerskie pasy wyglądały. Opierając się na rzeźbach i nagrobkach dojść możemy do wniosku, że noszone były na zbroi, a składały się z ruchomych ogniw lub z poszczególnych kółek. W zakresie mody górujące stanowisko zdobywa Francja, a wiek XIV przynosząc modę przesadnie obcisłych ubrań, przesunie pas tak na ubraniu męskim, jak i kobiecym na linję bioder, gdyż służyć już teraz będzie tylko jako ozdoba. Wspomniana wyżej obcisłość ubrania z natury rzeczy pasa już nie wymagała. Rosnący coraz więcej przepych, idący od dworów królewskich i książęcych wprowadzi zbytek w użyciu drogich kamieni, w szczególności zaś w ozdobnych pasach. Grało tu rolę nietylc lubowanie się w kosztownościach, ile chodziło raczej o głębsze znaczenie. Wieki średnie bowiem są okresem rażących kontrastów. Z jednej strony religijność posunięta aż do ascezy nie przeszkodziła szerzeniu się przesądu i do najdalszych granic posuniętego zabobonu. Drogim kamieniom przypisywano moc cudowną i rozmaite własności lecznicze tak dla ducha jak i dla ciała. Zabobon więc wyciska tu swe piętno, pas dzięki umieszczonym na nim kamieniom zyskuje, rzec można, znaczenie magiczne, przynosząc według opowieści rycerskich właścicielowi szczęście i zaszczyty, siłę, podziw i szacunek wśród rycerstwa, odporność na wszystkie rodzaje broni, na wodę i ogień i daje zdolność odnoszenia zwycięstw nad wszystkimi wrogami. Wystarczy tylko przypomnieć pas Brunhildy z Nibelungów, który czynił ją niepokonaną, aby zdać sobie sprawę z tego, że pas w ówczesnych czasach był czemś więcej, aniżeli zwykłą ozdobą stroju. Robota ich była niezwykle kunsztowna tak dalece, że spotkać można było na nich układane z drogich kamieni wierszowane sentencje.



Pasy egipskie z oryginalnemi zapięciami.

Poniżej od lewej: a) Pas metalowy z klamrą noszony na kontuszu, oraz b) klamry z ornamentem z XVII wieku.



Wiek XV przyniesie nową ozdobę pasom męskim i damskim w postaci dzwonków na nich umieszczanych. Paski sporządzano też ze skóry lub z ozdobnej gurty, mężczyźni zatykali za nie mieczyk, kobiety wieszały sakiewkę, a czasem na łańcuszki zwisały kluczyki. Dzwonki stanowiły szczyt szyku ówczesnego eleganta, zwłaszcza jeżeli takie same dzwonki znajdowały się na bucikach i reszcie ubrania. Paski owe noszone także skośnie od ramienia do bioder zwane były na zachodzie „hornfessel" uważane były za przedmiot zbytku i były bardzo kosztowne, cena ich wynosiła w r. 1466 we Frankfurcie n. M. 146 florenów za sztukę.

Wiek XVI upływa pod znakiem mody hiszpańskiej tak w stroju męskim, jak i kobiecym. Pasek znika ze sukni kobiecej, gdyż nie ma dla niego miejsca ze względu na przesadnie wcięty stanik i podobną kształtem do balonu spódnicę. Na portretach z tych czasów zjawia się on gdzieniegdzie w postaci łańcuszka opasującego suknię w pasie, zawiązanego w węzeł, opadający z przodu. Zakończony jest medaljonem, czasem też zawieszano na nim torebkę. W stroju męskim wąski, skórzany pasek ma już tylko zastosowanie praktyczne, służy bowiem tylko do umocowania szpady.

Moda przenika z pewnym opóźnieniem także do Polski. W damskim stroju polskim, szlacheckim czy też mieszczańskim, pas złocisty składał się z ruchomych ogniw, naszytych na skórze. Rysunek pasa powtarzał motyw rozety naprzemian łączony z wąskiem ogniwem. Podobne pasy metalowe z ornamentem rytym na blasze lub nakładanym plastycznie używane były w stroju męskim w w. XVI i XVII i nosiły nazwę pasów lwowskich lub przeworskich. Pasy sporządzano też czasem z rzemienia i zakończano klamrą. Kobiety używały też pasków węższych odlewanych ze srebra lub srebrzonych, o ogniwach prostokątnych, zakończonych na przodzie klamrą.

Na szczególną uwagę zasługują pasy polskie, jako nieodłączna część narodowego stroju. Nosiło je mieszczaństwo i szlachta. Pasy wkładane przez mieszczaństwo były przeważnie jedwabne, mniej lub więcej ozdobne. Najbogatsze jednak pasy nosiła szlachta. Pod wpływem stosunków ze Wschodem w w. XVII na miejsce wspomnianych metalowych zaczynają wchodzić pasy jedwabne, przywożone ze Wschodu. W miarę wzrostu okazałości stroju polskiego, pasy stają się coraz wspanialsze, a za Sasów rozpoczyna się ich wyrób w kraju. Początkowo wyrabiano jedwabne, później lite, a produkcja ich utrzymuje się do ostatnich chwil istnienia Rzeczypospolitej. Początkowo ornamentyka ich zostaje zaczerpnięta z motywów zachodnich, z czasem jednak na jej miejsce wchodzą motywy rodzime polskie i ornamentyka wschodnia.

Owe pasy wschodnie były przeważnie perskie a przywozili je do Polski Ormianie. Bardzo pięknie wykonane, odznaczały się świetnością barw i były bardzo szerokie, przytem tak miękkie, że dawały się przeciągnąć przez pierścień, dlatego zwano je pierścieniowymi lub obrączkowymi. Wskutek tej zalety można je było pięknie wiązać i układać. Pierwszą ich wytwórnię w kraju zakłada dnia 24 stycznia 1758 r. ks. Michał Kazimierz Radziwiłł, wojewoda wileński w Słucku, gdzie niejaki Jan Madżarski, Ormianin, prowadził fabrykę słynnych pasów słuckich. Pasiarnia owa dotrwała do roku 1844. Na pasach tych spotykamy w rogach w deseniu umieszczone jak gdyby znaki firmowe np.

„Me fecit Słuciae Joannes Madzarski". W r. 1782 zostaje przez Solimonda (Selimand) z Łyonu założona w Kobyłkach fabryka pasów jedwabnych, po nim kierował nią Jakób Paschalis, a koło r. 1790 przeszła ona na własność S. Filsjeana, a pasy z niej pochodzące charakteryzuje wybitnie zachodnia ornamentyka. W r. 1790 powstaje trzecia już z rzędu pasiarnia, założona przez wspomnianego już Paschalisa w Lipkowie pod Warszawą. Pasy te posiadają w rogach wizerunek wielkanocnego baranka z czerwoną chorągiewką, stanowiący herb uszlachconego przez Stanisława Augusta Paschalisa.

Na uwagę zasługują także fabryki krakowskie, których było trzy: Masłowskiego przy ul. Grodzkiej pod ówczesnym numerem 42, Pusiłowskiego, której historja nie jest bliżej znana oraz Chmielewskiego. Również w Sokołowie ks. Michał Kleofas Ogiński założył wytwórnię pasów, zatrudniając w niej robotników z Monbeillard.

Jakie zachodziły różnice między poszczególnymi pasami trudno na tym miejscu wyliczać. Faktem jest, że grają one tęczą kolorów, lite nicią metalową, rebrną i złotą, są przeważnie dwustronne, zawierają ornamentykę roślinną lub arabeskową, po jednej stronie przeważają czasem barwy ciemne, czarno białe, noszone na znak żałoby. Czasem są nawet czterostronne, gdyż ze względu na dużą ich szerokość jedno pole było podzielone. Istniał też jeszcze jeden typ pasa, wyrabianego na pamiątkę Konstytucji 3 Maja w kolorze białym i zielonym (nadzieja). Są to dwa pasy razem połączone, w fabryce nie rozcięte. Pozatem noszono jeszcze pasy t. zw. kałamajkowe czyli wełniane, które jako lżejsze używane były w lecie. Sposób wiązania pasów zależał od epoki i mody, nastręczał dość trudności, gdyż chodziło o to, by obydwa końce równo zwisały. Zaznaczyć przytem należy, że mieszczanie opasywali się na żupanie a nie na kontuszu, co było zwyczajem szlacheckim...

Wprowadzona za rządów Ludwika XIV we Francji moda „rokoko", utrzyma się przez lat blisko 40. Tak w stroju męskim, jak kobiecym paska wtedy już niema. Powróci on dopiero po wielkiej rewolucji, gdy nastąpi powrót do naturalnych kształtów i form. Na miejsce krynoliny i krępującego gorsetu wchodzi suknia wolna, fałdzista, a ponieważ chodziło teraz o uwydatnienie linji biustu, jest ona przepasana wysoko wstążką.

Od tego czasu poprzez nieznaczne już zmiany utrzyma się on aż po dzień dzisiejszy, podkreślając dyskretnie smukłość kobiecej sylwetki. Dawne zaś pasy pozostały jeszcze w strojach ludowych (góralskie, krakowskie i t. d.) oraz narodowych.

Mgr. Anna Nichthauserówna.

CIEKAWE DROBIAZGI

W jakich warunkach klimatycznych żyją ludzie miast?

Człowiek, bytujący na ziemi i zamieszkujący wszystkie jej zakątki, znajduje się bardzo często w warunkach klimatycznych tak ciężkich, że wydaje się niemożliwą jego w nich wegetacja. Jasnem jest, że plemiona i rasy od pokoleń przebywające w pewnych temperaturach i najbardziej nawet trudnych warunkach zdołały się z czasem przystosować do tych warunków i uodpornić owe organizmy. O wiele ciekawszem jest, że ludzie biali, którzy zdołali podbić cały świat — potrafią zwalczyć również najbardziej fantastyczne klimaty. Od mrocznej północy, zastygłej cały rok w lodowych okowach aż po zwrotniki, tkwią na swych posterunkach ludzie biali, obok społeczeństw stale zamieszkujących wszystkie nieomal szerokości geograficzne. Jak trudne są nieraz warunki klimatyczne i jak zdumiewające temperatury panują w poszczególnych osiedlach, będzie dostatecznym przykładem miasto poszukiwaczy złota, Dewson City, gdzie termometr latem wskazuje plus 35 st. C., a w zimie opada do minus 57 st. C.

Dziwna pogoda panuje w Irkucku na Syberji. Temperatura w zimie wynosi od minus 20 do minus 30 st. C., ale siła promieni słonecznych jest tak wielka, że śnieg i sople na dachach tają. Alger w Afryce ma co zimę kilka dni... mroźnych! W Payta deszcz nie pada latami — a w Brukseli 2/3 roku leje jak z cebra.

Najsuchszem miastem świata jest niewątpliwie Aden nad morzem Czerwonem. Deszcze padają tam bardzo rzadko, ale gdy padają, przypominają oberwanie chmury. San Francisko, stolica Kalifornji, posiada równą temperaturę. Najgorętszy miesiąc równa się naszemu majowi — najzimniejszy kwietniowi.

Twórca maszyny parowej — James Watt.

James Watt — znakomity mechanik szkocki — twórca maszyny parowej w jej dzisiejszych zarysach konstrukcyjnych — urodził się w roku 1736.

Watt po ukończeniu nauk i studjów w Londynie — posiadając opinję doskonałego technika i wielkie zdolności matematyczne — założył w roku 1756 warsztat mechaniczny w Glasgow.

W warsztacie tym Watt zetknął się z zepsutą maszyną atmosferyczną Newcomen'a, którą otrzymał do reparacji. Działanie tej maszyny polegało na ruchu tłoka podnoszonego do góry parą. Gdy tłok podnosił się — skraplano parę zapomocą strumienia zimnej wody — przyczem tłok opadał.

Podczas naprawy wspomnianej maszyny, Watt poczynił szereg zmian konstrukcyjnych, które udoskonaliły mechanizm.

W roku 1776 James Watt przystąpił do konstruowania maszyny parowej o podwójnem działaniu. Przeniósł on ruch postępowy tłoka na ruch obrotowy wału — zapomocą korby, zastosował automatyczny rozrząd pary i zbudował automatyczny regulator odśrodkowy dla obrotów maszyny. James Watt opracował konstrukcję maszyny tak dokładnie i wyczerpująco, że do dnia dzisiejszego, pomimo pewnych nowych szczegółów stosowanych w maszynach parowych — istota jej została niezmieniona.

James Watt, zmarły w Heatfield w roku 1819 — zapoczątkował pochód triumfalny maszyny parowej poprzez lata — i nowoczesną erę rozkwitu i potęgi maszyny.



NA ARENIE

A. DUDEVANT

NOWELA

Była tancerką na linie i występowała co wieczór w drugiej połowie programu. Ilekroć jej smukła, zgrabna postać ukazała się wysoko pod szczytem płóciennego namiotu, publiczność zatrzymywała oddech w piersiach i z niekłamanem zainteresowaniem śledziła każde jej poruszenie. Trzeba przyznać, że złotowłosa Dania, „Perła z Benares", jak brzmiał jej oficjalny tytuł, budziła powszechną sympatję, a miła jej twarzyczka i jasne, niewinne oczy, przyciągały, jak magnes, bywalców cyrkowych, rozkoszujących się pełnemi wdzięku produkcjami dziewczęcia. Złośliwi utrzymywali, że występy młodej tancerki są jedyną atrakcją zespołu akrobatycznego czcigodnego pana Sturma, który już trzeci dziesiątek lat wędrował po Europie, żeglując z powodzeniem na morzu życiowych trosk i trudności. To pewne, że osiemnastoletnia Dania decydowała zazwyczaj o powodzeniu każdego przedstawienia. Była sierotą, która wychowywała się w cyrku od wczesnej młodości i już jako dziecko stawiała pierwsze kroki na arenie. O ojcu jej mówiono niechętnie. Prawdę mówiąc, Dania wiedziała o nim bardzo mało. Stary pijaczyna, zaangażowany przez Sturma jako clown, był typem zdeklarowanego egoisty i brutala. Szeptano na ucho, że wracając późną nocą z jakiejś sutej libacji, wpadł do odkrytego kanału i skręcił kark. Dania przypominała sobie, jak przez mgłę, zapłakane oczy, bladą, wystraszoną twarz matki, przytulonej do łoża, na którem spoczywały zwłoki jej męża i tyrana. Biedna kobieta przeżyła go tylko o kilka miesięcy, a dziewczę weszło w skład cyrkowej trupy.

Dania nie miała wrogów. Należała do tych nielicznych istot, które nie budzą żadnej niechęci. Wrodzony wdzięk i umiejętność unikania najdrobniejszych nawet zatargów sprawiły, że nie obudziła zazdrości nawet u najserdeczniejszych przyjaciółek. Powodem tego był, zdaje się, fakt, że urocza Dania nie zwracała nigdy uwagi na swych licznych wielbicieli i nigdy nie dała się namówić do przelotnych flirtów, w których celowały jej towarzyszki. Wistocie, wszelkie objawy doraźnej sympatji pomijała milczeniem i żaden z mężczyzn nie mógł poszczycić się jakimkolwiek dowodem jej zainteresowania. Jakkolwiek się sprawa miała, Dania pozostała w środowisku, które zwykło patrzeć przez palce na ludzkie słabostki, niedostępną i nieczułą na hołdy wielbicieli. Sposób bycia młodej dziewczyny mimowoli nakazywał szacunek. Przydomek „chodzącej cnoty", który cisnął się niejednokrotnie na usta zniechęconych amatorów wrażeń nie miał jednak żadnych szans rozpowszechnienia się, gdyż przyczyną takiego zachowania się tancerki nie była pruderja. Dania nie powodowała się też dumą, stosunek jej do mężczyzn cechowała raczej podświadoma obawa przed czemś nieznanem, nieokreślonem, ale decydującem o przyszłem życiu.

Jasne wielkie oczy Dani nie wyrażały jednak nigdy lęku. Przeciwnie, miały dziwną siłę i moc przekonywania. Sięgały w głąb duszy i czyniły niejednego niewolnikiem tej pięknej, smukłej dziewczyny. Los jednak zrządził, że o przyszłości „Gwiazdy z Benares" zadecydował właściwie przypadek.

W czasie przejazdu przez jedną ze stolic Europy zgodził się dyrektor Sturm na zaangażowanie znakomitego pogromcy zwierząt, sztukmistrza Sadi Alego, którego specjalnością było tresowanie węży. Prawdę mówiąc, trzy czwarte powodzenia sztukmistrza polegało na umiejętnem manewrowaniu i obchodzeniu się z gadami, które stanowiły tylko niesamowite tło dla jego tanecznych ewolucyj. Węże poddawały się bezwolnie ruchom Sadi Alego, budząc się niechętnie z błogiego odrętwienia po smacznym posiłku. Ich ogrom i niesamowity wygląd wywoływały jednak zawsze uczucie grozy. Wistocie, widok przystrojonego w obcisły trykot ciała sztukmistrza, ubezwładnionego w potężnych splotach któregoś z wielkich gadów, przemawiał do wyobraźni widzów. Sensację budził przedewszystkiem jego taniec z olbrzymim okazem, będącym chlubą pogromcy. Wąż miał dużo inteligencji i zdawaćby się mogło, że bierze czasem żywy udział w przedstawieniu. „Taniec śmierci" Sadi Alego, jeden z popisowych numerów sztukmistrza, zawdzięczał swe powodzenie doskonałemu, możnaby rzec, zgraniu się obu „partnerów". To pewne, że występy sztukmistrza zawsze „robiły kasę".

Tym razem jednak szczęście nie dopisało panu Sturmowi. Po kilku przedstawieniach wielki wąż zachorował i mimo troskliwej opieki i usilnych starań miał się coraz gorzej. „Taniec śmierci" spadł z programu, a Sadi Ali, zgnębiony chorobą wychowanka, występował, rzec można, jakby z przymusu. Sytuacja przedstawiała się coraz groźniej, okazało się bowiem, że wąż REZU był nieznośnym pacjentem. Rozdrażnienie i niepokój, jakie zdradzał w czasie choroby, dały się otoczeniu tak bardzo we znaki, że służba bała się podchodzić do stale rozdrażnionego potwora. Sadi Ali wpadł w rozpacz. Rezu nie chciał przyjmować pokarmu, a wszelkie środki zalecone przez weterynarza, okazały się bezskutecznemi. I według wszelkiego prawdopodobieństwa zdechłby wkońcu, opuszczony przez zniechęconych czy też niemogących mu pomóc ludzi, gdyby nie Dania. Dziewczyna, widząc rozpacz właściciela, zajęła się jego wychowankiem. Otoczyła go troskliwą opieką, a wąż, rzecz dziwna, odniósł się do niej z zaufaniem od pierwszej chwili. Ten, jakby hypnotyczny wpływ, jaki Dania wywierała na mężczyzn, okazał się znakomitem lekarstwem także dla chorego gada. Każdego dnia wyczekiwał zjawienia się swej opiekunki, a ilekroć Dania podchodziła do skrzyni, w której spoczywał, zdawało się, że w pozbawionych powiek oczach jego pojawiają się przyjazne błyski. Sadi Ali nie mógł wyjść z podziwu. Dania odnosiła się do gada bez wstrętu, a nawet z głęboką litością, a Rezu uznawał w niej bezsprzecznie swoją panią. I było to dla węża podwójne szczęście, kapryśny los sprawił bowiem, że w kilka dni po wyzdrowieniu jego, Sadi Ali zachorował na zapalenie płuc i umarł, powierzając przed śmiercią wychowanka opiece Dani.

Węże sprzedano, ale Rezu pozostał w cyrku, jako własność tancerki i jako jej źródło dochodu. Przedsiębiorczy Sturm zorjentował się bowiem szybko, że Dania zastąpić może zmarłego sztukmistrza w jego popisowym „Tańcu śmierci". Rzecz prosta, ten numer programu musiał ulec pewnym zmianom i przekształcać się w pantomine, wymagającą od młodego dziewczęcia nie tyle dowodów siły fizycznej, ile zręczności i umiejętności dostosowywania się do nieobliczalnego partnera. Końcową scenę widowiska pomyślano, jako akt wyrażający poddanie się zahypnotyzowanej i ubezwładnionej przez gada tancerki, która upadłszy na kolana pozwala mu owinąć się względnie sama owija go wokół swej kibici. Pomysł okazał się doskonałym i nie minęło kilka tygodni, a Rezu ukazał się znowu na arenie, tym razem w towarzystwie „Gwiazdy z Benares".

Rezu był ucieleśnieniem siły, słuchał jednak swej pani, jak dziecko, a Dania, chociaż była tylko wątłem dziewczęciem, spoglądała w oczy gada, jak urodzony pogromca. Od śmierci swego dawnego opiekuna wąż stał się dziwnie nieufny i złośliwy. Witał niejednokrotnie zbliżających się do niego groźnem syczeniem, podnosił łeb jakby do ukąszenia. Jedno słowo Dani, jeden jej okrzyk wystarczał jednak, aby uczynić z gniewnego gada spokojne zwierzę. Wówczas łeb jego opadał na znieruchomiałe kłęby i tylko zimne, bezlitosne oczy zdawały się czuwać nad bezpieczeństwem pani, jedynie uprawnionej do wydawania mu rozkazów. Z czasem Dania przyszła do przekonania, że skrzynię z wężem musi przenieść do swej garderoby, albowiem służba odmówiła wręcz zajmowania się kapryśnym i łatwo wpadającym w gniew gadem.

Bóg jeden wie, czem właściwie jest uczucie, łączące zwierzę z jego opiekunem! To pewne, że Rezu był do swej pani bardzo przywiązany. Śledził godzinami każde jej poruszenie, a za zwrócone do niego słowa dziękował przeciągłym, cichym sykiem. — Dziwny był ten stosunek kobiety i węża.

„PANTERA"...
Lilli Palmer, gwiazda „Gaumont-British"
Fot. Lorant — Londyn.

Rezu kocha się w tobie! — mówiły koleżanki Dani. Wistocie, olbrzymi wąż przytulał się, jakby z miłością do młodego dziewczęcia, które w świetle kinkietów wykonywało sławny „Taniec śmierci“, a jego zimne sploty obejmowały pieszczotliwie szyję, piersi i biodra Dani, ilekroć w końcowym epizodzie składała główkę obok jego płaskiego łba. Wierzyła, że wąż nie pozwoliłby jej zrobić żadnej krzywdy. Paniczna ucieczka jednego z akrobatów, który w nietrzeźwym stanie wszedł do jej garderoby i spotkał się z groźnie wzniesionym łbem gada, była dostatecznym dowodem, że Rezu może być niebezpiecznym dla otoczenia. Pochlebiało jej, że zdołała ujarzmić dziką bestję i zyskać w niej pewnego rodzaju ostoję.

Przyszedł jednak czas, kiedy towarzystwo węża okazało się dla Dani niewygodnem I wtedy sytuacja uległa niespodziewanemu pogorszeniu.

Jak się to stało? Dlaczego jedno spojrzenie nieznajomego młodzieńca pobudziło do żywszego bicia nieczułe dotąd serce tancerki? Niezbadane są tajemnice miłości. Dania zakochała się po raz pierwszy w życiu i z miejsca straciła głowę.

Siedział w pierwszym rzędzie i nie mógł oderwać oczu od pięknej twarzyczki dziewczęcia. Ujrzał ją przed trzema dniami i na dwóch przedstawieniach starał się napróżno zwrócić na siebie jej uwagę. Dopiero na trzeci wieczór, tuż przed rozpoczęciem ostatniego numeru, spojrzenia ich skrzyżowały się. Serce Dani przeniknął dziwny dreszcz, a ręce młodzieńca zacisnęły się na gałce laski. Zaczęła tańczyć, nie śmiejąc podnieść oczu, wsłuchana w melodję fletów, które zawodziły smętnie... Czuła zimne dotknięcie splotów towarzyszącego jej węża i po raz pierwszy w życiu dotknięcie to wydało się jej wstrętne. Poddając się machinalnie uściskom węża, liczyła każdy takt. I dopiero wówczas, kiedy ostatnie tony muzyki przebrzmiały na arenie, odważyła się podnieść głowę... Ujrzała znów jego oczy... czarne, szeroko otwarte, wpatrzone w nią... Uśmiechnęła się blado, starając się nie słyszeć syku węża, który oparł swój łeb o czoło towarzyszki.

Nieznajomy przesłał jej kwiaty zaraz po przedstawieniu. Przyjęła je z dziwnem wzruszeniem. — Henryk Łęski! — Obracała w palcach bilet wizytowy, nie wiedząc, co począć. Może spodziewała się, że złoży jej wizytę jeszcze tego samego wieczora? Ale nie przybył. Ujrzała go nazajutrz na przedstawieniu, potem na trzeci i na czwarty wieczór. Czekała na niego codziennie. Tęskniła za pieszczotą jego oczu i roiła tysiące snów.

Henryk przysyłał jej kwiaty, ale dotąd nie odważył się na wizytę. Może powiedziano mu, że Dania nie zawiera znajomości zbyt pochopnie, a może bał się rozczarowania. I on zdawał sobie sprawę, że przeżywa niezwykłą przygodę, że jego uczucie dla tego młodego dziewczęcia nie jest zwyczajną awanturką miłosną.

Wreszcie przyszedł oczekiwany dzień. To, co młoda dziewczyna przeżyła w ciągu godziny pierwszego spotkania, wydało się jej, jakby marzeniem. O czem mówili? Zapewne, kiedy prysnęły pierwsze lody i kiedy w duszę Dani zaczęły przenikać wyrazy uwielbienia, będące pieszczotą i słowa podziwu, które świadczyły o głębokiem uczuciu, musiała i ona dać wyraz radości z poznania pierwszego mężczyzny, który zbudził ze snu jej milczące serce. Zresztą, nie chodziło o słowa... Były one tylko stwierdzeniem tego, co już dawno powiedziały sobie ich oczy.

Spotykali się odtąd codziennie. Opowiadała mu o swem dzieciństwie, samotności, stosunkach w cyrku, o pracy zawodowej, a on słuchał jej szczebiotania, upajając się dźwiękiem głosu kochanki, zapominając o całym świecie... Mówiła mu o swoim wychowanku, wielkim wężu, którego obłaskawiła i nagięła do posłuszeństwa. Rezu! Henryk widział go kilkakrotnie na arenie...

Kiedy po raz pierwszy przekroczył progi garderoby Dani i złożył na jej ręce pocałunek, usłyszał nagle za sobą głośny syk. Wąż podniósł łeb ze skrzyni, ale kilka słów tancerki pouczyło go, że gość nie przybył we wrogich zamiarach. Młodzieniec wzdrygnął się mimowoli, ale młodzi nie myśleli o wężu. Był dla nich czemś łączącem ich z rzeczywistością, od której chcieli uciec, jak najdalej...

Wąż czuwał jednak. Kiedy po raz pierwszy usta tancerki i młodzieńca zetknęły się i kiedy Henryk przytulił do piersi swą wybraną, głowa Rezu podniosła się z sykiem. Przestraszona dziewczyna wyswobodziła się z objęć ukochanego, gromiąc gada energicznymi słowami. Wąż opadł spowrotem do skrzyni, zwijając się w kłąb, nie dał się jednak udobruchać. Było jasne, że odnosi się wrogo do Henryka. Przypuszczenie, że w wężu obudziła się nagle wrodzona mu złośliwość, wydaje się nieuzasadniona, a jednak tylko w ten sposób można sobie wytłumaczyć jego późniejsze zachowanie się. W okresie tym nie chciał przyjmować pokarmów i robił wrażenie podrażnionego. Nie reagował na rozkazy Dani i przyjmował z obojętnością dowody jej łaski. W czasie codziennego „Tańca śmierci“ ożywiał się jednak, jakby zetknięcie się z ciałem dziewczyny przypominało mu jego obowiązki. Dania, zajęta tylko swoją miłością, nie zwracała uwagi na dziwne zachowanie się gada. Zaniedbała go wkrótce zupełnie, a Rezu przyzwyczajony do opieki towarzyszki, miałby prawo uważać się za pokrzywdzonego, gdyby tego rodzaju względy wchodziły wogóle w rachubę; psychologja węża jest przecież dla nas, ludzi, zagadką.

A miłość dwojga ludzi przechodziła zwyczajne koleje, stając się z każdą chwilą coraz gorętsza.

W wieczór zaręczyn — był to upalny, duszny wieczór lipcowy — siedzieli oboje, rozmarzeni, w garderobie tancerki. Za godzinę miało rozpocząć się przedstawienie.

— Rzuć to wszystko — szeptał namiętnie młodzieniec do ucha garnącej się do niego dziewczyny. — Zerwij z tem życiem włóczęgów! Stworzymy sobie przytulne gniazdko gdzieś na przedmieściu i zapomnimy o całym świecie. To, co posiadam, wystarczy dla nas obojga.

Właściwie myślała o tem już dawno i słowa Henryka padły na podatny grunt. Czemużby nie miała założyć własnego domu z wybranym przez siebie mężczyzną? Szczęście raz tylko w życiu uśmiecha się do człowieka, a Dania nie wątpiła, że kochanek jej jest uosobieniem szczęścia. Przyjęła więc jego propozycję i po krótkiej naradzie postanowiła uciec z nim razem, zaraz po przedstawieniu. Koledzy, towarzyszki i dyrektor mieli się dowiedzieć dopiero nazajutrz o jej decyzji opuszczenia cyrku na zawsze.

Trudno to sobie wyobrazić, nie ulega jednak wątpliwości, że instynkt ostrzegł węża przed grożącemi mu w najbliższym czasie zmianami. Może przeczuł, że towarzyszka jego postanowiła go opuścić?

W cyrku zebrały się dnia tego tłumy ludzi, jakby dla uczczenia ulubionej tancerki po raz ostatni. W pierwszym rzędzie zasiadał, jak zwykle, Henryk, oczekując z niecierpliwością na finał przedstawienia, którym był efektowny i zawsze przemawiający do wyobraźni „Taniec śmierci“ Dani z wężem Rezu. Był dziwnie podniecony, a myśl, że ta piękna dziewczyna, której zgrabne, pełne wdzięku ruchy budziły zachwyt obecnych, należeć będzie wkrótce do niego, przyprawiała go o rozkoszny dreszcz. Dania tańczyła, darząc od czasu do czasu kochanka tkliwem spojrzeniem, jakby chciała okazać, że tańczy wyłącznie dla niego. A publiczność, jak zawsze, nie szczędziła swej oblubienicy dowodów sympatji.

Orkiestra umilkła i tancerka zniknęła za kotarą. Wniesiono skrzynię z wężem. Rozpoczął się ostatni numer programu.

Wąż podniósł łeb, rozględając się dookoła Może to było złudzenie, ale siedzącemu w milczeniu Henrykowi wydało się, że wyprężył się jakby do skoku. W tej chwili odezwały się dźwięki muzyki i na arenę wbiegła Dania, przybrana w obcisły, czerwony trykot. Zaczęła tańczyć, wykonując swe ewolucje wokół znieruchomiałego gada, który wsłuchiwał się w smętne tony fletów. Minuta mijała za minutą; Dania tańczyła, aż wreszcie przystanęła nad wężem i kołysząc się, podniosła ręce. Posłuszny wezwaniu swej pani, Rezu zaczął zwolna rozwijać swe kłęby, śledząc martwym wzrokiem ruchy jej kibici. Oboje trwali przez chwilę, jakby w transie, poczem gad położył się u nóg dziewczęcia, zahypnotyzowany jej wzrokiem. Dania uklękła, ujęła obiema rękami cielsko węża i zaczęła go dźwigać w górę. Głowa węża ożywiła się znowu, a kiedy dziewczyna wyprostowała się, Rezu owinął się wokół jej bioder i piersi, sięgając szyi. Teraz nadchodził punkt kulminacyjny. Przy dźwiękach smętnej muzyki wąż podniósł swój trójkątny łeb i zasyczał przeciągle. Jeszcze kilka taktów i taniec skończył się miał nagłym przegięciem się w tył ubezwładnionej przez gada Dani, której ręce daremnie starały się zwolnić szyję z jego splotów...

I teraz stało się coś strasznego. Cielsko węża, obejmujące dotąd jakby w pieszczocie kibić dziewczyny, wyprężyło się, zacisnęło i zesztywniało. Z piersi tancerki wydobył się krótki, urywany krzyk, a ręce jej wyciągnęły się, jakby wzywał pomocy. Z ust Dani spłynęła krew... Potężne sploty gada gniotły i miażdżyły biodra i piersi tancerki, zaciskały się wokół szyi...

Twarz dziewczęcia zsiniała, a oczy, patrzące błagalnie, zasnuła mgła. Wszystko to stało się tak szybko, że zanim publiczność zdała sobie sprawę z rozgrywającego się na arenie dramatu, było już za późno. Wąż w nagłym przypływie gniewu zdusił w swym potwornym uścisku dziewczynę, zanim oszalały z bólu i grozy Henryk zdążył przyłożyć rewolwer do ohydnego jego łba.

Padł strzał, potem drugi i trzeci. Muzyka ucichła nagle. Na piasek areny runęło martwe cielsko gada, który nawet w śmiertelnej agonji nie chciał wypuścić z swych objęć nieszczęsnej dziewczyny, zabitej w chwili, kiedy z sercem przepełnionem miłością iść miała w życie ku lepszej, jaśniejszej doli.

amatorska fotografja





„Na pierwszym śniegu"
Fot. St. Füller — N. Targ.

„Jesień się zbliża"...
Fot. A. Młodzianowski — Kraków.

Na lewo: „Zygzaki"
Fot. A. Młodzianowski — Kraków.

Na prawo:
„Sople lodowe"
Fot. dr. A. Wieczorek — Zakopane.

Poniżej: „Kościółek św. Benedykta"
Fot. F. Nowicki — Kraków.









Niedźwiedź mospanie!

Był sobie raz niedźwiedź, który żył na węgierskiej stronie na południowych stokach Babiej Góry Niedaleko ztamtąd w jednem znów z powiatowych miasteczek małopolskich, powiedzmy w Wadowicach, bytował pewien sędzia sprawiedliwy, bardzo zacna dusza. Lubiał dobrze zjeść i wypić pod miarę, no i opowiadać w gronie towarzyszy. Sędzia trochę się zacinał, ale to mu tylko dodawało pewnego uroku towarzyskiego. Lubili go wszyscy.

Ten niedźwiedź, o którym mówiłem, także lubiał zjeść, zwłaszcza jagody i to go zgubiło. Powędrował za jagodami z Węgier na polską stronę aż do lasów w Żywieczczyźnie i tu „dokonał żywota“ od kuli znanego i doskonałego myśliwego, który był leśniczym w dobrach żywieckich. Kiedy to było? O, bardzo dawno. I leśniczy ów nie żyje i sędzia pożegnał świat także.

Bohater naszego opowiadania, sędzia, żyłki myśliwskiej nie miał, chociaż z bronią obchodzić się umiał, ale na polowania jeździł, jako że lubiał bigos pod jodłami w kniei i smakowite nalewki, należące do ceremonjału myśliwskiego.

Na to polowanie z niedźwiedziem, co prawda nie zapowiadanym, pojechał mimo sprzeciwu żony.

Polowania w górach nie należą do wydatnych, kilkanaście, w najlepszym razie zajęcy, jakiś lis, rogacz, czasem nawet dzik... Nasza historja rozegrała się w ostojach gminy Wieprz, a jak się odbyła opowie nam sam sędzia, tak jak ją opowiadał w handelku w Wadowicach podczas śniadania w gronie towarzyszy miłych.

— Żona mi mówi, nie jedź na to polowanie! Zostań raczej w domu przy mem łonie, a ja jej na to: przy żadnym memłonie nie zostanę i pojadę. Właściwie to nie jadę przecież na polowanie, tylko na śniadanie. Widzisz Zosiu, tam dają doskonały bigos.

— Ale ty nie masz nawet ubrania do polowania — mówi żona. — A ja jej na to: To nic nie szkodzi. Mam urzędnika, który jest zapalonym myśliwym i ma ubranie a jest tego samego wzrostu co ja. On mi pożyczy wszystkiego co potrzeba, a śniadanie to już ja sam zjem za niego. Urzędnik pożyczył mi ubrania. Leżało na mnie jak ulane a na kapelusiku miałem takie piórko że aż ha. No i pojechałem. Postawili mnie w lesie obok leśniczego, za jakimś półsążkiem drzewa opałowego. Pomyślałem sobie: — Ej, żeby to taki półsążek mieć w domu, toby się człowiek nie trapił o zimę. No dobra. Stanąłem za tym posążkiem spokojnie, bo przecież w razie jakiego niebezpieczeństwa mogłem wyskoczyć na niego i co mi nawet jaki dzik zrobi?!

Co prawda, to nie bardzo wiedziałem co mam robić, więc patrzę na mojego sąsiada co on robi... On złamał strzelbę, na to i ja moją złamałem, on nabił, no to i ja nabiłem. On stoi spokojnie, to i ja się nie ruszam jak na warcie i czekam co to będzie dalej.

Nagle w gałęziach coś drgnęło, coś zaszeleściało i hyc do mnie na półsążek, ażem się zląkł. Ale to była tylko wiewiórka... Potym wyskoczył zając z gąszczu i siadł akurat przed półsążkiem, tak żem go nie widział. Jak się wychyliłem to uciekł do krzaków i tyłem go widział... a taki mi się wydawał dobry na pasztet. Szkoda! Stoję dalej i czekam, ale już nic na mnie nie wyszło. Czekam, czekam, wiatr szumi po gałęziach cichutko... Z początku to było bardzo przyjemnie, ale potem to mi się zaczęło nudzić. Przestępuję z nogi na nogę i ziewam. A mój sąsiad stoi wciąż jak posąg — ani drgnie. Mnie już nogi zbolały i po brzuchu zaczęło burczeć coraz to mocniej aż echo szło po lesie.

Kiedyż to śniadanie nareszcie będzie, myślę, aż tu nagle jak się nie rozlegnie w lesie ogromny wrzask, ażem ścierpł cały. Czego oni tak wrzeszczą? Jeszcze broń Boże jakiego licha napędzą. Wsłuchuję się i nic nie rozumię, tylko psy strasznie ujadają. Zrozumiałem, że to musi być coś strasznego... zrobiło mi się głupio, ale nadrabiałem miną, żeby mój sąsiad nie myślał, że się boję. Więc poprawiłem się trochę, wziąłem strzelbę silniej w garść i stoję, a tu nagle jak nie wrzasną: niedźwiedź! niedźwiedź!!! i jak coś nie ryknie strasznie, to mi się zrobiło jeszcze bardziej głupio.

Źle, myślę sobie... Jak takie bydle tu przyjdzie, to mnie gotowe zakatrupić... Niema rady, trzeba się ratować, ale jak? Chyba wleźć na półsążek, to mnie może nie zobaczy... Więc wyłażę, ale co postawię nogę na polanach, to mi się kloce pod nogami rozsuwają. Balansuję jak mogę, wreszcie wlazłem, ale skorom się tylko znalazł na wierzchu półsążka, to się to świństwo z hukiem rozsunęło a ja się znalazłem na ziemi między polanami. Strach mnie ogarnął, bo to przecież nie byle co, tylko niedźwiedź... Ale tak między polanami nie mogę przecież leżeć, więc się gramolę... Ale strzelby nie puściłem choć mi to przeszkadzało... Kiedy się tak gramolę, widzę, że coś blisko mnie w krzakach się szybko posuwa. Takie jakieś duże, bure... Rany Boskie to pewnie ten niedźwiedź!!! I to był, jak się później pokazało, rzeczywiście ten niedźwiedź... W strachu szukam ratunku. Patrzę na mojego sąsiada, żeby mi przyszedł z pomocą, a jego niema... pobiegł w las... No, teraz to już koniec ze mną, myślę sobie, i straciłem nadzieję. Zrezygnowany położyłem strzelbę przed sobą na jednem polanie drzewa, a innemi zacząłem się obstawiać, żeby zrobić niby fortecę. Zawsze to bezpieczniej.

Kiedy tak się obstawiałem temi klocami, nagle coś gruchnęło tuż przy mnie. Przysiadłem ze strachu... A to moja strzelba, jakem się ruszał, obsunęła się, zawadziła cynglami i wypaliła z obu lufek naraz... Równocześnie słyszę koło mnie jeden strzał, zaraz po nim drugi, trzeci, cała kanonada...

Nogi mi zmartwiały i odmówiły posłuszeństwa, tak, żem się nie mógł ruszyć... coś mi zakręciło w dołku, a serce zamarło...

Dziej się wola Boża — pomyślałem — już niema ratunku... to pewnie kara Boża za zachłanność na ten bigos...

A tu strzały grzmią jak na manewrach, ale teraz już dalej odemnie, i ludzie wrzeszczą jak opętani. Chwała Bogu, że się to tak odsunęło odemnie. Odetchnąłem, ale się boję ruszyć, bo licho nie śpi, więc przykucnąłem za polanami i czekam. Po chwili słyszę, że coś się zbliża ku mnie ostro... zląkłem się, ale niepotrzebnie, bo to był mój sąsiad, który wracał na stanowisko. Podszedł do mnie i mówi:

— Wyłaź sędzia z tych polan, bo albo go zabili, albo uciekł!

Odetchnąłem.

Zaraz potem zaczęli po całym lesie trąbić, niby że to już polowanie skończone, więc poszedłem z moim sąsiadem ku obozowi na śniadanie. Całą drogę sąsiad nic nie mówił, tylko mi się tak jakoś dziwnie przypatrywał

Kiedy wreszcie doszedłem na polanę, patrzę, a tu wszyscy stoją koło jakiejś burej masy, co leży na ziemi, koło ognia. — To był właśnie niedźwiedź.

Zaraz nam dali wódki „na trupa“ — jak się to mówi po myśliwsku — a potem zasiedliśmy do tego bigosu.

Przedtem jeszcze widziałem, że ten mój sąsiad ze stanowiska w lesie, ten leśniczy, coś tam poszeptywał z innemi myśliwemi, a potem wszyscy wstali, jeden podszedł do drzewa, urwał gałązkę, podszedł do mnie, wsadził mi tą gałązkę za kapelusz i powiada:

— Pierwsza kula!

A wszyscy zaczęli krzyczeć na moją cześć. .

Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem... czego oni chcą odemnie, co to jest ta pierwsza kula.. czego mi oni tak gratulują? I dopiero ten leśniczy co stał na stanowisku koło mnie wytłumaczył mi, że jest takie jakieś prawo myśliwskie, że kto pierwszy strzeli do grubego zwierza, a przecież to moja strzelba pierwsza wypaliła, temu, choćby inni też strzelali, to się przyznaje, że to on niby zabił...

Ano kiedy tak, to dobrze, nie będę się przecież sprzeciwiał, bo nie wypada, więc dziękowałem. Potem mnie zaprowadzili do niedźwiedzia, na fotografję pamiątkową. Stanąłem na niedźwiedziu, wziąłem do prawej ręki strzelbę, żeby było widać, poprawiłem kapelusz z piórkiem, wyprostowałem się na baczność i postawiłem na niedźwiedzia jedną nogę.

I tak mnie sfotografowali.

Ale przedtem, nimem tę nogę postawił, to się jeszcze spytałem, czy to bydle naprawdę nie żyje, boby mi żona takiej lekkomyślności nigdy nie darowała do końca życia...

Tę fotografję zachowałem do dziś dnia na pamiątkę.

CISZA JESIENNEGO WIECZORU...
FOT. SOMOGYI — BERLIN.



„PRO FIDE, REGE ET LEGE"

Order Orła Białego w swej dzisiejszej postaci.



VLADISLAVS LOCTICVS REX PO
LONIÆ INSTITVTOR ORDINIS HE
ROICI AQVILÆ ALBÆ A° MCCCXXV

Powyżej: Władysław Łokietek, legendarny założyciel orderu Orła Białego, według sztychu z XVIII wieku. (Ze zbiorów autora).

Poniżej: Władysław IV, założyciel orderu Najświętszej Panny Marji, według sztychu z XVIII wieku. (Ze zbiorów autora).



DZIEJE ORDERU ORŁA BIAŁEGO

Demokratyzm polski ubiegłych wieków niechętnie patrzył na wszelkiego rodzaju ordery, podobnie jak na obce tytuły. Z tych też powodów nie doszedł do skutku projektowany przez Władysława IV order Najświętszej Panny Marji, a dopiero w XVIII wieku obce ordery poczęły przenikać do nas w większej ilości. Dotychczas znane u nas były tylko ordery Złotego Runa, Świętego Ducha, order dla pań Krzyża Gwiaździstego, bawarski św. Huberta, a stosunkowo nieliczni tylko byli kawalerowie Zakonu Maltańskiego lub też Świętego Grobu. Dopiero też w XVIII. wieku powstał najwyższy polski order Orła Białego, a w lat kilkaddziesiąt potem (1765) order św. Stanisława i Virtuti Militari.

Skoro przyjrzymy się dziejom orderów europejskich, o których istnieje zresztą nader bogata i ciekawa literatura, sięgająca XVI. w., zobaczymy, że tak jak w heraldyce tak i tu istnieje swoisty język symboliki orderowej. Do najwdzięczniejszych symbolów orderowych należy orzeł, cesarski ptak, odznaczający się wysokością lotu i drapieżnością. Wśród odznak honorowych zakonów średniowiecza, które musimy odróżniać od orderów dworskich, późniejszych, spotykamy dwa, które również obrały orła za główny temat, a mianowicie: order austrjacki „Dyscypliny", założony w r. 1338 (?), przez ks. Albrechta Mądrego (biały orzeł na nieb. polu), oraz order a raczej towarzystwo orderowe zwane „Societas Aquilina" założone przez ces. Albrechta II. w r. 1433. Oczywiście, że w późniejszych czasach spotkamy się nieraz z orłem jako godłem orderowem: w orderze serbskim Białego Orła, rosyjskim Św. Aleksandra Newskiego, austrjackim Franciszka Józefa itd. Poza orłem inne jeszcze zwierzęta spotykamy jako temat orderowy: lwa, np. w orderze neapolitańskim Lwicy (1379?), koguta, psa i jelenia, (zakon rycerski zał. 1080 (?) dla walki z Albigensami), łabędzia (order „Panny Marji od łabędzia", założony przez Hohenzollernów w r. 1443), słonia (order duński Słonia zał. koło r. 1400), jeżatkę (order założony w 15 w. we Francji, i wiele innych. Nie należy zapominać, że baranek w Złotem Runie posiada swą symbolistykę, przypominając Baranka Bożego, względnie będąc aluzją do dziejów Jazona.

Jako kurjoza orderowe warto wspomnieć o oście w orderze szkockim, kłosie (order bretoński, zał. koło 1450), dębie (order hiszp. zał. przez króla Garcia Ximenez z Nawarry w r. 722?), butach (order wenecki zał. między 1332—1400), warkoczu (order austrjacki zał. przez ks. Albrechta z Warkoczem, 1385?), wkońcu założony został w XIV. wieku „order błazna" (Geckenorden), a mianowicie w księstwie Cleve. Niemniej oryginalnym jest zapewne order Łaźni, założony w Anglji w r. 1399, a istniejący dotychczas.

Początki orderu Orła Białego są dosyć zagmatwane. Historycy podają, jakoby został założony w r 1325 przez króla Władysława Łokietka z okazji ślubu swego syna Kazimierza Wielkiego z ks. Anną litewską. Twierdzenie to powtórzył również Jan Fryderyk hr. Sapieha w swem dziele o orderze Orła Białego, dodając, jak też i inni historycy, że już w znacznie dawniejszych czasach król rozdawał swym zasłużonym poddanym złote łańcuchy z wyobrażeniem Orła Białego. Nie ma wątpliwości, że łańcuchy noszono, ale nie miały charakteru orderu w dzisiejszem pojęciu, chociaż nie przeczymy, że jak Kromer podaje. Władysław Łokietek mógł takim łańcuchem obdarować swych weselnych gości. Wprawdzie i historycy zagraniczni, jak Cavelier, Spener, Schoonebeek itd. uważają Łokietka za fundatora orderu, ale zdaje się, iż powodem tego twierdzenia, była chęć „podciągnięcia" genezy naszego orderu do poziomu najzazaczytniejszego orderu Chrześcijaństwa, tj. Złotego Runa, które zostało założone w roku 1429 przez ks. burgundzkiego Filipa Dobrego z okazji ślubu jego z Izabellą ks. portugalską. Starsi historycy orderu Orła Białego podają też, że król czeski Wacław takiż order stworzył w Czechach, chcąc w ten sposób podkreślić swe prawa do korony polskiej. Odznakę Orła Białego nazywają starsi autorzy również orderem „rycerskiego pasa" (ordo Balthei Militaris), łącząc go z zwyczajem średniowiecznym nagradzania wojowników pasem, czyli „pasowaniem" ich na rycerzy. I tu zachodzi niejasność, względnie pomieszanie pojęć: pasowanie na rycerza było instytucją ogólno-europejską, nie łączyła się jednak z odznaką Orła Białego. Mimo, iż nowocześni autorzy odrzucają rok 1325 jako datę ustanowienia orderu Orła Białego, to jednak ciekawe są podane przez Jana Fryderyka Sapiehę szczegóły, o których prawdziwości trudno wątpić. W swem dziele mówi Sapieha, iż na portretach Alberta Radziwiłła, kanclerza W. X. L., oraz Kazimierza Leona Sapiehy, podkanclerzego W. X. L., znajdujących się w Białej i Kodniu, widział złoty łańcuch z Białym Orłem wiszący na szyi, a książę Kazimierz Czartoryski, kasztelan wileński opowiadał mu, iż widział w rękopisie iluminowanym, pochodzącym z dawnej bibljoteki książąt mazowieckich,

herb tych książąt, otoczony łańcuchem z którego zwiesza się Orzeł Biały. Odnalezienie tego kodeksu miało się podobno przyczynić do odnowienia orderu przez Augusta II.

Gdy dnia 1 listopada 1705 r. August II, zwany Mocnym, znalazł się w Tykocinie, rozdał pomiędzy nielicznych swych towarzyszy w walce o tron, medaljony z emaljowanem godłem Orła Białego. Zwyczajem ówczesnym obdarowani nosili te up minki królewskie na sukni. Jakkolwiek król ustanowił w ten sposób odznakę honorową, nie było czasu na zajęcie się jej statutami. Dopiero po uspokojeniu kraju odznaka ta stała się w całej pełni orderem. Na medaljonie widniał napis: „Pro Fide Rege et Lege“, a z drugiej strony monogram królewski: A. R. Dopiero później król kazał sporządzić emaljowane krzyże ośmioramienne, wielkości krzyży orderu francuskiego Świętego Ducha, na których znajdował się Biały Orzeł, z czterema złotemi promieniami między ramionami krzyża. Noszono ten order wtedy na szyi, później dopiero, bo w r. 1713 poczęto nosić go na niebieskiej szarfie z lewego ramienia na prawy bok. Na lewym boku umieszczano plakę orderu, często wyszywaną na fraku, przedstawiającą krzyż, podobny do krzyża orderu Danebroga, tylko o równych ramionach z tą samą co sam order dewizą. Odznakę orderową nadawano dnia 2 września, tj. w dniu imienin króla; stworzono przy kapitule orderu urząd kanclerza, przeprowadzającego formalności nadania, a ono samo odbywało się z wielką pompą na zamku warszawskim. Wśród obowiązków kawalerów wymieniono m. in. obowiązek noszenia przez trzy miesiące odznaki orderowej na sukni, która miała być purpurowego koloru, kawalerowie musieli przyczynić się do wykupna niewolników z Turcji, uprawiać cnoty chrześcijańskie itd.

Przed kawalerami orderu Orła Białego wojsko prezentowało broń a cieszyli się oni, z racji niewielkiej swej ilości, otrzymywali go najwyżsi dygnitarze, wielką estymą. Wśród pierwszych nominacyj zostali kawalerami orderu Janusz ks. Wiśniowiecki, kaszt. krak., Adam Sieniawski, k. krak., trzech Radziwiłłów: Michał, koniuszy W. X. L., czterech Lubomirskich, m. nimi Hieronim, kaszt. krak., trzech Czartoryskich: Kazimierz, kasztelan wileński, Michał, podkancl. W. X. Litewskiego i August, Stanisław Poniatowski, ojciec króla, podskarbi W. L., Jan z Ruszczy hr. Branicki, miecznik W. Kor., Władysław z Lubrańca hr. Dąmbski, marsz. nadw. Kor., Jakób Dunin, refer. W. K., Stanisław Rzewuski, woj. bełzki, Piotr hr. Kczewski, woj. malborski, Jan Przebendowski, podskarbi W. Kor., Michał Sapieha, woj. podlaski, Jan Fryderyk hr. Sapieha, kaszt. trocki, autor dzieła o orderze Orła Białego, Jan hr. z Szczekarzowic Tarło, woj. lubelski itd. Z osób panujących otrzymało w pierwszych latach istnienia order kilku książąt niemieckich, jak ks. sasko-weisenfelski, sasko-weimarski, Jerzy margrabia brandenbursko-beireutski, Ludwik ks. würtemberski, Piotr I. Wielki i jego małżonka Katarzyna, Piotr II i następca tronu Aleksy i t. d.

Za Stanisława Augusta order Orła Białego, jakkolwiek zawsze pozostał najwyższem odznaczeniem polskiem, rozdawany bywał dosyć szczodrze. Otrzymało go wiele osób, które niczem właściwie nie zasłużyły się Polsce, a między in. Włoch, margrabia Torelli di Montechiarugolo, za domniemane pokrewieństwo z Poniatowskimi „ex re“ Ciołka-Torello. Z chwilą upadku Polski order Orła Białego pozostał jednym z najwyższych orderów państwa rosyjskiego, a nadawany bywał przez carów — królów polskich (Aleksander I i Mikołaj I), a następnie stał się orderem cesarstwa od 1831 r. O ile za Rzeczypospolitej order, obejmujący tylko jedną klasę, stawiany był na równi z francuskim orderem Św. Ducha, Złotego Runa, Słonia, Podwiązki, św. Andrzeja, Anunciaty itd., o tyle za rządów Rosji zajął trzecie miejsce po orderze św. Andrzeja, Aleksandrze Newskim (order św. Katarzyny dostępny był jedynie dla kobiet), a przed orderami św. Jerzego i św. Włodzimierza.

Zmartwychpowstała Polska wskrzesiła order Orła Białego jako najwyższe swe odznaczenie, poddając zewnętrzny wygląd jego pewnym zmianom. Zmieniono też dewizę na „Za ojczyznę i naród“, choć właściwie jest ona niejako parafrazą dawnej, w której jedynie słowo „rege“ nie jest aktualne. Monogram królewski zastąpiono literami R. P. Wielkim mistrzem orderu jest P. Prezydent Rzeczypospolitej, a order nadawany bywa jedynie najwyższym dostojnikom krajowym i zagranicznym.

Biały Orzeł, który wyfrunął z legendarnego gniazda skalnego, znów jako najwyższe odznaczenie, ozdabia pierś zasłużonych synów Ojczyzny, niosąc na swych skrzydłach splendory przeszłości i zapowiedź przyszłych wielkich czynów.

Jan Maleszewski.



Ilustracja z XVIII wieku przedstawiająca sposób noszenia orderu Orła Białego. (Ze zbiorów autora).



Order Orła Białego bywał nieraz ozdobiony brylantami, jak nato wskazuje współczesny sztych. (Ze zbiorów autora).



Plaka orderu Orła Białego, według ilustracji z XVIII w. (Ze zbiorów autora).



Dziś noszona plaka orderu Orła Białego.

MIŁOŚĆ NA NIBY...

Margaret Sullavan i Douglas Montgomery.

Żyjemy w wieku, w którym wszystko jest tylko dekoracją i udawaniem. Nawet pocałunek! Poprostu ludzie kochają się według scenarjusza. Dawniej Baedeckera używano tylko w podróży i to nie poślubnej, gdyż wtedy ciceronem był Amor, a dzisiaj do wszystkiego bierze się przewodnika. W takim filmie np. bierze się poprostu jakąś Gretę Garbo i jakiegoś Clark Gable i każe się im robić sceny miłosne. Albo, zależnie od potrzeby, bierze się inny „garnitur“ kochanków i ogłasza się szumnie, że film to pasmo szaleństwa i cierpienia, to hymn miłości i bohaterstwa. A aktorzy całują się bardzo ostrożnie, aby nie zetrzeć szminki. Podobno tylko po pierwszym każdego miesiąca są tak rozradowani, że nie mogą się oprzeć pokusie i całują się naprawdę. Ale to zdarza się tylko raz na miesiąc...

Film ujął miłość w karby fachowości: każdy aktor i każda artystka mają swoje szlagierowe tricki miłosne. Specjalny reżyser pocałunkowy pilnuje wykonania tej miłej roli, za której odegranie laik słonoby jeszcze dopłacił. Oto zespół: Walerja Hobson i Roger Pryor celują w pocałunkach gwałtownych. Typ filmu: miłość na dalekim zachodzie „Wild West“. Pocałunek, znamionujący pełne oddanie się, jest specjalnością pięknej Raquel Torres i jej partnera Karola Bickford. Pocałunek taki przypieczętowuje zwykle ostatni akt długiego filmu pełnego katastrof i nieprzewidzianych klęsk obojga kochanków. Przeciwieństwem jego jest pocałunek pełen szacunku Alana Hale, witającego Małgorzatę Sullavan w filmie „I co dalej, mały człowieku?“. Pocałunek wyraża niestety, że niema żadnego „dalej“...

Poniżej: Patricia Ellis i Philip Reed.



Wtedy też film się kończy i publiczność wychodzi z kina. Pocałunek na dłoni przemiłej Patrycji Ellis składa znów Filip Reed i wtedy miłość kochanków uwydatnia się jaskrawiej niż przy pocałunku w usta. A inni artyści upodobali sobie znów inne miejsca, np. szyję. Tak całuje Karol Laughton, genjalny „Henryk VIII“ na całej serji swych żon. Pocałunek sportowców jest może najbardziej popularnym na ekranie: każdego przecież porywa, gdy aktor dobrze strzelił bramkę ust pięknej kobiety! Takim „sportowcem“ jest np. Douglas Montgomery a partnerka jego Małgorzata Sullawan imituje świetnie boisko sportowe! Specjaliści twierdzą, że największym „specem“ pocałunkowym jest Robert Armstrong, który w filmie „Miłosna Pieśń Manhattanu“ wznosi się na taką wyżynę artyzmu, jak czyni to śpiewak, biorąc wysokie C.

A teraz jedno psychologiczne pytanie: co robi aktor filmowy, grający scenę pocałunku z swoją bogdanką, by się nie powtarzać w życiu prywatnem? Musi chyba znów przechodzić specjalne przeszkolenie, aby nie miała ona wrażenie, że gra rolę filmową... Jak z tego wynika, w filmie trzeba unikać realnego życia a w życiu filmu... Bardzo skomplikowane to sprawy, ale jakoś ludzie sobie radzą, inaczej w najczulszem tête-à-tête piękna gwiazda rzekłaby z wyrzutem do kochanka: „Zapomnij o scenarjuszu i zaimprowizuj coś nowego!“

Nie starajmy się więc imitować ekranu w sprawach pocałunku: idźmy własnemi ścieżkami i uczmy się improwizować!

I. G. M.

Poniżej: Raquel Torres i Charles Bickford.



Joan Gardner i Barrie Mackay.

Powyż Valerie Hob i Roger yor. ◄

Wszystki zdjęcia: Lorant Londyn.



Esther Ralston i George Lebedeff.







Wendy Barry i Charles Laughton.

1866-1936

H. G. WELLS

POETA PRZYSZŁOŚCI

Jeden z największych powieściopisarzy angielskich, H. G. Wells, autor „Wojny światów" i „Człowieka niewidzialnego", należący do grona twórców brytyjskich, których cele i zamierzenia artystyczne nie ograniczały się tylko do potrzeb ściśle narodowych, ukończył właśnie siedemdziesiąt lat. I jakkolwiek w ostatnim czasie działalność literacka Wellsa zatraciła pod wielu względami swój charakter kosmopolityczny, jakkolwiek przejawia się w niej dążność do syntetyzowania i oświetlania wszelkich socjalnych zagadnień z punktu widzenia współczesnego Anglika, to jednak od czasu do czasu budzi się jeszcze w nim instynkt fantasty i proroka, który każe mu szukać nowych dróg i pomysły metafizyczne przenosić chociażby... na ekran.

Dla przeciętnego Brytyjczyka najwybitniejszymi utworami tego genjalnego pisarza będą bezsprzecznie jego powieści z życia Anglji powojennej, poświęcone pewnym problemom społecznym, szczególnie ważnym w tym okresie przewartościowywania pojęć („Świat Williama Clissolda", „Ojciec Krystyny Alberty") oraz utwory poświęcone wiecznie żywotnym kwestjom miłości, małżeństwa, przyjaźni między kobietą i mężczyzną, ich znaczenia dla rodziny i społeczeństwa angielskiego („Janka i Piotr", „Gorąca przyjaźń", „Małżeństwo" itd.). Utwory, omawiające sprawy religijne i polityczne, przeznaczone tylko dla pewnych kół i środowisk, z natury rzeczy nie mogły zdobyć popularności, jakkolwiek im głównie zawdzięcza Wells sławę pisarza postępowego. Są to prace o charakterze dydaktycznym i polemicznym, niektóre z nich bardzo śmiałe i w założeniu godzące w podstawy dotychczasowego porządku rzeczy, przeważnie jednak fantazje społeczne, których urzeczywistnienia w najbliższej przyszłości nawet sam Wells się nie spodziewa.

Głównem źródłem popularności Wellsa, także i w Polsce są jego powieści, a raczej wizje powieściowe na tematy pseudo-naukowe. W dziedzinie tej nie ma on właściwie „protoplastów", gdyż pokrewieństwo jego duchowe z J. Vernem, E. Poem i K. Flammarionem jest bardzo dalekie. Pomysły jego ze względu na ich nieuchwytność nie mają żadnych szans urzeczywistnienia i z tych względów muszą pozostać tylko marzeniami, zrodzonymi z pessymistycznej oceny warunków życia i pracy na naszej ziemi. Przykładem takiej wizji artystycznej jest jedna z jego pierwszych powieści p. t. „Cudowny gość", utwór o fabule bardzo nikłej, interesujący jednak dzięki umiejętnemu zestawieniu ustępów satyrycznych i poetycznych. „Wojna światów" i „Wehikuł czasu" mają już wszelkie zalety powieści sensacyjnych w dobrym guście. Pierwsze ustępy każdej z nich stanowią coś w rodzaju ekspozycji o podkładzie filozoficznym, w których fantazja poety urabia odpowiednio problem naukowy, naginając go do swoich celów.

Powieści Wellsa z tej dziedziny mają czasem charakter groteski („Człowiek niewidzialny", „Syrena", „Pierwsi ludzie na księżycu"), niekiedy przypominają niesamowite opowiadania Poego („Wyspa dra Moreau"), czasem jednak są tylko fantazjami na temat przyszłości świata i zmian w jego strukturze socjalnej („Gdy śpiący się zbudzi", „Kometa").

Wells jest zdecydowanym pacyfistą i wojnę uważa za klęskę, która kiedyś może stać się przyczyną ogólnego kataklizmu („Wojna w powietrzu"). Jest prorokiem różnorakich nieszczęść i pesymistą. Jedyne lekarstwo na zło i wzmagającą się nędzę upatruje on nie w postępie cywilizacji i gonitwie za wynalazkami, ale w powszechnej reformie społecznej, do której jednak — jak sam przyznaje — ludzkość jeszcze nie dorosła. Trzebaby, w istocie, jakiejś katastrofy żywiołowej, jak w jego „Komecie", aby zmienił się sposób myślenia wszystkich narodów.

Powieści fantastyczne Wellsa są raczej nowoczesnemi utopjami, niż utworami poświęconymi zagadnieniom specjalnym. Dlatego nie może on, w przeciwieństwie np. do J. Verne'a, poszczycić się ziszczeniem żadnej z jego wizyj i spełnieniem przepowiedwiedni. W całej bogatej twórczości tego autora spotykamy tylko dwa pomysły, dwie idee, które się urzeczywistniły. Nie ulega wątpliwości, że napisana w roku 1903 nowela p. t. „Lądowe pancerniki" jest genjalną przepowiednią na temat stworzonych z końcem wojny światowej tanków. Pomysł Ligi Narodów z powieści Wellsa „Świat staje się wolny", napisanej tuż przed wybuchem wielkiej wojny, wprawdzie tylko w ogólnych zarysach odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy, w każdym razie jednak doczekał się również urzeczywistnienia. Nadzieje, jakie autor pokładał w Rosji nie ziściły się zupełnie, a wizja szlachetnego Marka Karenina wydaje się nam dziś, po doświadczeniach bolszewizmu, jakiemś dziwnem nieporozumieniem.

W dziedzinie krótkiej noweli fantastycznej stworzył H. G. Wells szereg prawdziwych arcydzieł. Pomysły jego zdumiewają oryginalnością i przemawiają żywo do wyobraźni czytelnika. Niewykły dar opowiadania sprawia, że każdy z tych utworów zaciekawia i absorbuje. Nie chodzi w nich o problemy społeczne, o pomysły ściśle naukowe względnie o zagadnienia filozoficzne, podane w formie literackiej. Są to tylko opowieści o tematach niezwykłych, czasami wręcz niepodobnych, pisane jednak tak przekonywująco, że czytelnik nie umie podać, gdzie przebiega granica między rzeczywistością, a fantazją. Bohaterowie jego, to ludzie prości, nie zdający sobie sprawy z niezwykłości przeżywanych przygód i odnoszący się nieraz do nich w sposób wybitnie naiwny. Nic też dziwnego, że nie mogą sprostać wymaganiom, jakie im stawia przypadek i często padają ofiarą mimowolnych swoich wynalazków. Pewna ironja i swoisty humor, z jakim autor odnosi się do swoich postaci, podkreśla jeszcze bardziej nienaturalność sytuacji i obrazów, nadaje im jednak charakterystyczne piętno, które pozwala odróżnić utwory Wellsa od całego szeregu pokrewnych mu duchem powieści i opowiadań pisanych obecnie pod jego wpływem.

Umysł Wellsa zwrócił się w ostatnich kilkunastu latach ku zagadnieniom społecznym i twórczość jego porusza teraz tematy raczej aktualne. Największy eksperyment socjalny czasów naszych, przeprowadzany od szeregu lat w Rosji, interesuje go w wysokim stopniu, czego dowodem jego dwukrotna bytność w Moskwie w ciągu lat ostatnich. Mimo swoich sympatyj dla warstw pracujących i reform, których się niejednokrotnie domagał, przyznaje jednak otwarcie, że sen jego o przekształceniu ekonomicznem świata pozostał niestety tylko snem!

Przyszłość okaże, czy ogłoszony przez autora „Człowieka niewidzialnego" pokój powszechny po okresie socjalnych zamieszek i przewrotów, będzie też tylko nieziszczalnem marzeniem. Zdaje się jednak, że autor „Snu" jest w tym jednym wypadku niepoprawnym optymistą.

W. de Riche.



Słynny autor angielski H. G. Wells (po lewej) w towarzystwie Charlie Chaplina i znanej artystki filmowej Paulette Goddard.

Fot. Wide-World — Londyn

hallo! hallo! czy mówi się dalej?



ubię bardzo z panem rozmawiać. Jak się pan miewa, panie Henryku? Co tam słychać w Krakowie?

— Dobrze jest... podobno Kossak na życzenie dowództwa armji ma zmotoryzować swą twórczość...

— To ona dotychczas nie była zmechanizowana?

— Ale nie o to chodzi — chodzi o treść obrazów. . Poza tem podziwialiśmy mrówczą pracowitość recenzentów teatralnych.

— A co słychać w literaturze?

— Literaci dzielą się teraz, proszę pani, na dwie kategorje: — na takich, co mają poglądy własne, ale ciasne i takich, co mają poglądy szerokie, ale cudze... Wogóle nasi literaci stali się teraz oszczędniejsi. Własne myśli i pomysły chowają na czarną godzinę...

— Ach wy, Krakowianie, przecież wy tak lubicie oszczędzać! Czy urządza się u was jakie wystawne przyjęcia....

— A uczta Wierzynka?

— Tak — przekonał mnie pan! Ale po tym przykładzie marnotrawstwa Krakowianie chyba się poprawili. A jakie są najnowsze sensacje krakowskie?

— Poświęciliśmy nową klinikę ginekologiczną, dom akademiczek, nowy tramwaj, uniwersytet dostał krzyż...

— Dotychczas przeważnie na uniwersytecie dostawało się po krzyżach...

— I wie pani co się stało? Pan minister pomylił się — i otwierając klinikę ginekologiczną, powiedział: „Otwieramy ten gmach dla młodych dziewcząt, które przyjeżdżają do Krakowa na studja. Znajdą w tym gmachu wszystko, co im potrzeba". A potem na poświęceniu domu akademiczek powiedział: „W tym oto gmachu przyjdą na świat nowe pokolenia Krakowian — wy młode matki...".

— To okropne...

— A czy pani wie, że w Japonji istnieje specjalna „szkoła żon"? Wychowuje się tam dziewczęta, które mają potem wyjść zamąż za kolonistów japońskich w Mandżurji.

— Hm.. szkoła żon... dlaczego u nas niema takiej szkoły....

— U nas nie potrzeba — u nas żony dają szkołę mężom.

— A co słychać w świecie filmowym?

— Fairbanks sprawił sobie nową żonę... ale zdaje się, myśli jeszcze o swej Mary, bo do Europy przyjechał na pokładzie okrętu „Queen Mary".

— A w naszym świecie filmowym?

— Grożą nam rozruchy. Poszło o tego Żeromskiego.

— Acha, tego autora filmowego...

— Nie, to był wielki pisarz. Otóż nasz film to takie jedno wielkie prosektorium, w którem kraje się zwłoki naszych wielkich pisarzy. Najbardziej znęcają się nad Żeromskim... Wprawdzie nie czas żałować „Róży", gdy Hiszpanja płonie, ale te filmy mogą doprowadzić do wybuchu...

— Mianowicie?

— Garstka reżyserów polskich podobno zażądała, aby do tego filmowego prosektorjum Żydzi też dostarczali swoich zwłok... Dlaczego mamy krajać tylko naszych pisarzy!

— Mówił pan o Hiszpanji — jaka tam sytuacja, czy posuwamy się naprzód?

— Tak, posuwamy się naprzód. Pozatem Włochy i Niemcy uznały generała Franco...

— Widzi pan...

— No tak, nareszcie Niemcy są franco-filami, a Francuzi franco-fobami.

— A co słychać w kraju?

— Nie słychać brzęku pieniedzy, ani szelestu banknotów. Ciągle obchodzimy taki finansowy tydzień ciszy. Profesor Krzyżanowski wyjechał do Ameryki, mamy dostać jakieś zagraniczne pożyczki. Może coś z tego będzie.

— Panie Henryku, a na jak długo może nam taka pożyczka wystarczyć

Hallo! Trzy minuty... czy mówi się dalej?

— O pieniadzach można tylko mówić.

Mikrofon.



Dr. Adam Krzyżanowski, prof. U. J. i radca Rudziński z Min. Skarbu w chwili wyjazdu do Stanów Zjednoczonych A. P. w sprawie uregulowania splat pożyczek państwowych. Fot. „AS".



Król duński Krystjan (ze strzelbą na ramieniu) podczas dorocznego polowania w Seeland pod Kopenhagą. Fot. Wide World — Londyn.

Poniżej: Douglas Fairbanks (ojciec) przybył wraz ze swą drugą żoną na statku „Queen Mary" do Europy (zdjęcie z dworca Waterloo w Londynie). Fot. New York Times — Londyn.



Poniżej: „Związek teściowych" dyskutuje na tematy małżeńskie ze „Związkiem narzeczonych" w Tokio. Fot. Keystone — Berlin.



Tajemnice muzyki mechanicznej

Od najdawniejszych czasów problem muzyki mechanicznej, a raczej konstrukcja odpowiedniego aparatu reprodukcyjnego zaprzątała umysły ludzkie. — Pierwsze wysiłki na tem polu obserwujemy w postaci grających zegarów i tabakierek, zaopatrzonych w t. zw. pozytywkę, w której dźwięki powstawały przez drganie różnej wielkości blaszek metalowych, poruszanych zapomocą kolców, rozmieszczonych na małym walcu metalowym. Układ tych kolców musiał się, rzecz prosta, wiernie zgadzać z poszczególnemi nutami melodji pozytywki.

Na tej samej zasadzie zbudowano słynną ongiś „szafę grającą", którą wyposażono dodatkowo w minjaturowe instrumenty, jak czynele, bęben, triangel i in., naturalnie również mechanicznie obsługiwane. W ten sposób starano się uzyskać efekt orkiestralnego brzmienia, jakże jednak daleki od prawdziwie artystycznego pierwowzoru. Mimo wielu swych wad „szafa grająca" — rekwizyt wiedeńskiego Prateru i podmiejskich szynków — przez długi czas była aparatem cenionym i podziwianym.

Epokowym jednak wynalazkiem, który dopiero po raz pierwszy oddziałał rewolucyjnie na uprzednio przyjęte zasady muzyki mechanicznej i który dosłownie olśnił i zdumiał ludzkość całą, był gramofon, czarodziejski aparat, godny swego wielkiego twórcy — Tomasza Edisona. Dzięki temu wynalazkowi rozwiązano problem, dawniej uważany za niemożliwy do osiągnięcia, a polegający na wiernej reprodukcji głosu ludzkiego i dźwięków, istniejących instrumentów muzycznych. Pozytywka, czy różne jej odmiany były przecież same dla siebie właściwie instrumentami, tylko zmechanizowanymi, podczas gdy gramofon stał się pierwszą formą aparatu reprodukcyjnego, w całem tego słowa znaczeniu. Zrozumiemy to najlepiej na przykładzie, gdy powiemy, że już na walcu pierwszego gramofonu (pierwsze płyty miały kształt walca) można było wiernie zarejestrować grę pozytywki, czy „szafy grającej" i potem zreprodukować ją zapomocą igły i membrany — natomiast odwrotnie, z pomocą pozytywki odtworzenie gry gramofonu okazało się ze zrozumiałych względów niemożliwem.

Wynalazek Edisona stał się szybko własnością dosłownie całego świata. Dziś niema chyba zakątka na ziemi, do któregoby nie dotarł gramofon. W opisach niektórych globtrotterów znajdujemy wzmianki o aparacie „cudotwórcy z Menlo-Parku", który wzbudzał podziw ludożerczych plemion Afryki i Australji. Mimo wielkiej konkurencji przedewszystkiem radja, gramofon, doprowadzony w konstrukcji do doskonałości zawładnął wszystkimi rynkami świata, a przemysł gramofonowy (no i płytowy) rozwija się w dalszym ciągu jaknajpomyślniej.

Ostatnio pewien Węgier dokonał wynalazku, który być może już w niedalekiej przyszłości okaże się groźnym konkurentem gramofonu. Jest to t. zw. „Filmofon" — ostatni krzyk w dziedzinie aparatów reprodukcyjnych. Postaramy się w krótkich słowach zaznajomić Czytelników z tym nowym wynalazkiem i porównać go z aparatem Edisona. „Filmofon" — to minjaturowe kino dźwiękowe, ale kino, w którem wyświetla się wyłącznie głos — poprostu kino „ślepe", tak, jak dawniej było ono nieme. Może niejednemu wyda się to dziwnem: „Jakże można wyświetlać głos? To chyba niemożliwe!".

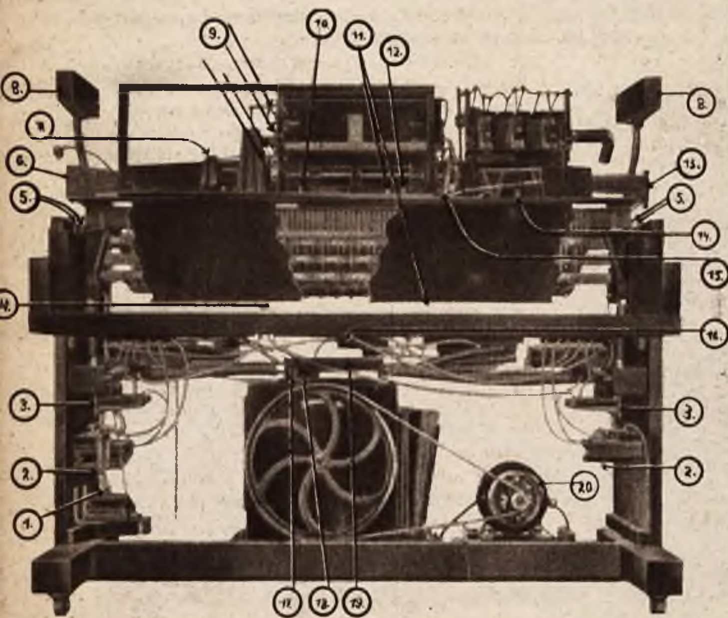
A jednak właśnie tak jest — można głos wyświetlić, ale musi się go przedtem sfotografować.

W tem właśnie tkwi różnica między starym gramofonem, przez niejedne



Młody Edison przy swoim pierwszym gramofonie. (Zdjęcie z przed 56 laty).

Powyżej: Rozwinięta częściowo rolka nutowa „Ampico". Fot. „AS"



Schemat maszynerji elektrycznego fortepianu „Ampico": 1) pedał zciszający, 2) crescendo, 3) ritenuto, 4) połączenia z miechem, 5) kontakty elektryczne, 6) przewody do basów, 7) miech do amortyzatora, 8) amortyzator pneumatyczny, 9) rozdzielniki, obsługujące przyrządy modulacyjne i pedały, 10) regulator dla rolki nutowej, 11) regulatory tempa, 12) regulator rolki nutowej, 13) przewody do wiolinów, 14) kontakt elektryczny, 15) aźwignia do wysuwania szuflady z rolką nutową, 16) blok amplifikacyjny, 17), 18) i 19) urządzenia pomocnicze do pompy ssącej, 20) motorek elektryczny, popędzający cały mechanizm. — Jedyny w Polsce taki fortepian znajduje się w Krakowie w firmie: Władysław Boloński, skład fortepianów, ul. św. Anny 3.



Prof. Theremin przy swoim aparacie.

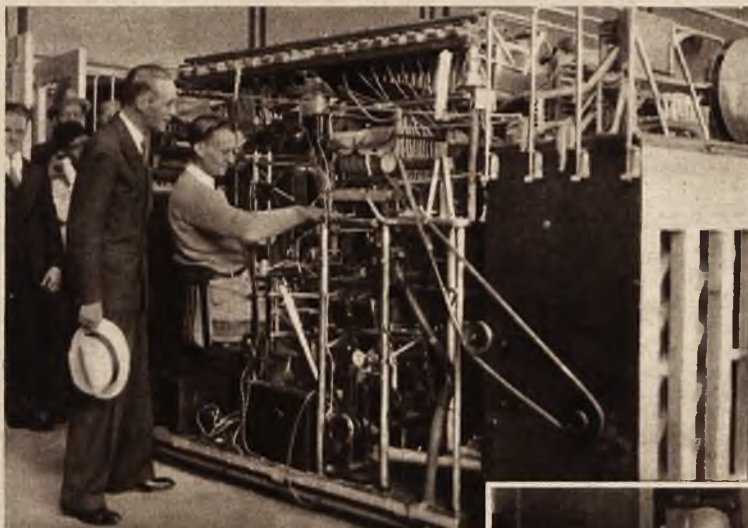


Oto jak wygląda „Ampico" z wyciągniętą szufladą, gdzie zakłada się rolkę nutową.

Fot. „As"

go uważanym za przeżytek, a „Filmofonem". Jak dotąd głos rzeźbiło się w postaci rowków na płycie gramofonowej i potem odtwarzało z pomocą igły i membrany, tak obecnie się go fotografuje i wyświetla, przyczem rolę czułej membrany spełnia bez porównania czulszy i dokładniejszy instrument, którym jest komórka światłoczuła — t. zw. fotocela. Dzięki niej możemy dźwięki rejestrować na taśmie filmowej w postaci prążków o różnej grubości i różnych wzajemnych odległościach. Taśma ta zastępuje płytę gramofonową i ma nad nią tę przewagę, że za jednym zamachem resorbuje wszystkie jej wady, z któremi dotychczas nie mogli się uporać konstruktorzy: ograniczenie długości nagranego utworu spowodu rozmiaru płyty, szybka stosunkowo zużywalność przez działanie igły na materjał o niedużej odporności, waga płyty i co najważniejsze szmery mechaniczne, powodujące nieczystość reprodukcji, a powstające wskutek tarcia igły o płytę. Wszystko to odpada w „Filmofonie", ponieważ długość taśmy, a tem samem i nagranego utworu może być dowolna, zużywalność jest tu stosunkowo minimalna, waga nie odgrywa żadnej roli, a czystość reprodukcji stanowi wzór dla wszelkiego rodzaju aparatów zmechanizowanej muzyki. Jedyną wadą narazie jest wysoka cena „Filmofonu", która uniemożliwia jego seryjną produkcję.

Najtrudniejszym problemem, jaki miała pokonać technika reprodukcyjna w zakresie muzyki mechanicznej, była i jest rejestracja dźwięków fortepianu. Czy to dlatego, że jest on dużym instrumentem o pełnem brzmieniu i rozległych możliwościach technicznych, czy też z tego powodu, że nie posiada tonu ciągłego jak skrzypce, lecz krótkie uderzenie i swobodną wibrację strun — fortepian pozostał dla gramofonu instrumentem zgoła „niefonogenicznym" i brzmienie jego wychodzi z gramofonu zawsze zniekształcone (np. akord dłużej przetrzymany, zupełnie wyraźnie opada o ułamek tonu i psuje harmonję). Prawdopodobnie ta niemożność uzyskania wiernej reprodukcji fortepianowego dźwięku skłoniła konstruktorów do budowania aparatów, zmuszających fortepian do samoistnej gry. Pierwszym z nich była t. zw. fonola. Z jej pomocą ktoś, kto całkiem nie umiał grać na fortepianie, mógł wykonać na nim utwory, odznaczające się nawet najzawilszą techniką pianistyczną, przez proste regulowanie działania mechanizmu fonoli, opartego na ciśnieniu powietrza, wytwarzanego przez miech, na dźwignie, spoczywające na poszczególnych klawiszach zwykłego fortepianu. Tego rodzaju jednak muzyka pozostała mimo sta rań fabrykantów i konstruktorów bezdusznym plagjatem gry wirtuozów.



Na lewo: Aparat, który z pomocą skomplikowanego mechanizmu pneumatycznego reprodukuje wiernie grę orkiestry, złożonej z 30 instrumentów.



Wiedeński inżynier Willi Lenk przy swym aparacie muzycznym „Magnetton".

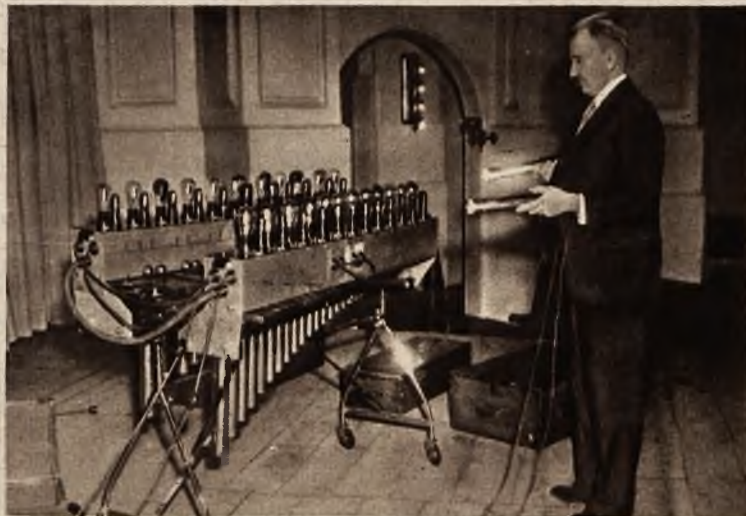
Dopiero równie genjalny jak gramofon wynalazek pewnego technika wytwórni fortepianów „Knabe" w Ameryce umożliwił, że tak powiemy, fotografowanie (utrwalanie) gry pianistów, a następnie odtwarzanie jej zapomocą aparatu „Ampico", wbudowanego w zwykły fortepian, a skonstruowanego na zasadach bardzo podobnych do tych, które zastosowano po raz pierwszy w fonoli. Samo „nagrywanie" odbywa się drogą elektrycznego rejestrowania na metalowym walcu (negatywie) nietylko każdego uderzenia palców pianisty o klawisze, ale i siły tego uderzenia, tempa, oraz działania obu pedałów — jednem słowem wszelkich subtelności gry, właściwych dla sztuki interpretacyjnej danego pianisty. Z tego metalowego walca przenosi się następnie zarejestrowane znaki na długą taśmę sporządzoną ze specjalnego papieru, na której widzimy je w formie małych kwadratowych dziurek. Taśmę tę wkładamy następnie nawiniętą na rolkę do szuflady aparatu „Ampico", umieszczonej pod klawiaturą fortepianu. Przewija się ona, biegnąc na długiej rurce metalowej, zaopatrzonej w szereg analogicznych dziurek. Każda z tych ostatnich jest wylotem dla szeregu przewodów gumowych, ilościowo odpowiadających klawiszom, a biegnących pod spód fortepianu, do specjalnych mieszków, połączonych skolei odpowiedniemi dźwigniami z mechaniką fortepianu. Motorek elektryczny porusza pompę ssącą, która w momencie załączenia aparatury zaczyna działać i wytwarza w powyżej opisanych przewodach gumowych próżnię. Jak długo rurka z otworami, odpowiednik klawiatury, zakryta jest papierem taśmy nutowej, mechanizm nie działa. Z chwilą jednak, gdy jedna z dziurek na taśmie nutowej pokryje się z dziurką rurki, powstaje wolna droga dla powietrza, które wessane przez miech biegnie przewodem gumowym do swego mieszka, wprawia go w ruch, a ten skolei przenosi ten ruch z pomocą dźwigni na młotek mechanizmu fortepianowego, uderzający o strunę. W ten sposób powstaje dźwięk. Teraz chodzi o to, by uderzeniu młotka nadać tę samą subtelność, z jaką wprawia go w ruch z pomocą klawisza ręka wirtuoza. Do tego celu służą najrozmaitsze aparaty pomocnicze, wbudowane w „Ampico", jak filtry, amplifikatory itd. Zasadnicze cechy techniki gry fortepianowej, a więc tempa i mechanika pedałów posiadają w rejestrze dziurek na rurce metalowej no i w szeregu przewodów gumowych wraz z mieszkami swoje osobne miejsce. Tak samo i siła uderzenia młotka jest modulowana z pomocą specjalnego przewodu.

Kto nie słyszał gry „Ampica", ten chyba nigdy nie uwierzy, że można było zbudować

Dokończenie na str. 24-tej



Inż. Trautwein (stoi) asystuje podczas gry — (od lewej) O. Sali, R. Schmidta i prof. Hindemitha na „Trautonium", aparacie muzycznym własnej konstrukcji.



Elektrotechnik amerykański dr. Thomas demonstruje sposób gry na wynalezionym przez siebie instrumencie.



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA”

MOJA PIOSENKA

WALC ANGIELSKI

Słowa i muzyka:
JAN ŁAWRUSIEWICZ

Moderato.

Przyj – dzie dzień, ta – ki dzień, że w bó – lu za – drży ser – ce; lecz gdy – by czas roz – łą – czył nas, wspomnij o mo – jej pio – sen – ce.

Refren.

Smut – na nu – ta wal – ca u – koły – sze wraz ser – ca, które drżą tę – skno – tą, i po – nie – sie my – śli w świat, co łączy nas, nio – sąc w darze lep – sze ju – tro.

Słu – chaj, walc ten mi – łość śpie – wa, smu – tek z duszy twej roz – wie – wa! Nie płacz J-ri, jest ktoś, kto twe myśli zna, kto tę-sknotę w ser – cu 1. ma! 2. ma!

rit.

K. Alszer

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Królowa MAROTIRI

OPOWIEŚĆ Z MÓRZ POŁUDNIOWYCH

CHARLIE

Napisał: LEONARD ŻYCKI-MAŁACHOWSKI. Ilustrował: CHARLIE.

Żeby opowiedzieć, jak dostałem się na Tahiti, trzebaby sięgnąć wstecz aż do początków mojej wędrówki za chlebem. Przepłynąłem przez ocean jako kilkunastoletni chłopak, spodziewając się, że w Ameryce znajdę nietylko suchy chleb, ale nawet dużo masła do niego. Tymczasem nic poszło to tak łatwo. Tem bardziej że nigdzie nie mogłem zagrzać miejsca. Dość, że po pewnym w czasie znalazłem się w amerykańskiej, a raczej wyrażając się ściślej — w strefie Stanów Zjednoczonych Kanału Panamskiego, głodny, bosy i obdarty. Na zarobek nie można było liczyć, zwłaszcza, gdy się miało za konkurentów południowych Amerykanów, obywateli tych drobnych centralon amerykańskich republik, z których każdy nosił nóż za pasem i nie wahał się przed jego użyciem.

Oczywiście, każdy z was gotów mi zadać pytanie: a dlaczego pan stamtąd nie wyjechał? Pytanie słuszne, ale nie tak znów bardzo. Wyjechać — nazywało się mieć pieniądze na opłacenie biletu okrętowego, a ja groszem, jak już domyślicie się chyba, wówczas nie śmierdziałem. Mogłem się zaangażować na jakiś statek, ale i to nie przychodziło łatwo. W takich miejscowościach, jak Colon, czy Cristobal kapitanowie okrętów uzupełniają załogę chyba tylko w razie jakiejś żywiołowej klęski i kompletnego braku „rąk". A kiedy się zdarzyła taka niezwykła okazja, to kapitan obejrzał mnie od stóp do głów, spojrzał z pogardą na moje wychudłe od długich postów ręce i bez słowa odwrócił się ode mnie tyłem. Usiłować go przekonać byłoby to samo, co próbować rozbić głową jedną z potężnych śluz kanału.

Zostawała więc tylko jedna jedyna droga: zakraść się na jakiś statek w charakterze pasażera „gapowego". To też nie jest tak łatwe, jakby się mogło wydawać. Podobnych amatorów bezpłatnej podróży jest wielu i załoga ma się dobrze na baczności. Trzeba dużego sprytu i zręczności, żeby się zakraść na okręt bez niczyjej wiedzy. Przytem muszę dodać i to, że już miałem dość „nowego świata" i chciałem się załadować na okręt płynący do Europy.

Po długich wyczekiwaniach i pilnem stróżowaniu nad kanałem, nawinął mi się angielski parowiec, który szedł z Australji z ładunkiem wełny do Liverpoolu Nareszcie upragniona okazja! Doczekałem nocy i poszedłszy po swój worek z żywnością i sporą blaszankę wody (nie rościłem pretensji do kuchni okrętowej), zakradłem się na upragniony statek. Zaszyłem się w najciemniejszy kąt na dnie okrętu i czekałem, aż ruszy. Nareszcie! Huk maszyn i uderzenia śruby okrętowej o wodę powitałem jak najpiękniejszą muzykę. Teraz tylko siedzieć cichutko aż do Liverpoolu. Nie będę opowiadał, jaka to była podróż i jakich trzeba było poświęceń, żeby wytrzymać w ciemnych zakamarkach. Nie wiem nawet, jak długo jechałem, aż nagle statek się zatrzymał. Usłyszałem jakiś niezwykły gwar, świadczący o bliskości portu. Usłyszałem skrzypienie bloków opuszczanej szalupy i głosy komendy.

Czyżby to był już Liverpool?

Nie czekając już dłużej, wyszedłm na pokład. I gdy moje oczy przywykły do oślepiającego blasku, ujrzałem ze zdziwieniem, że statek stoi na redzie jakiejś wyspy. Wysokie, piękne palmy chwiały się w podmuchach lekkiej bryzy, a po cichej lagunie, oddzielonej od burzliwego oceanu pierścieniem koralowych skał, pływały dziwne łodzie, pełne bronzowych dziewcząt i chłopców, przybranych w kwiaty i kolorowe tkaniny. Nasz statek stał na kotwicy poza laguną i tylko szalupa okrętowa wpływała właśnie do niej, kierując się w stronę lądu.

Lecz nie długo patrzyłem na ten dziwny i nigdy nie widywany przedtem krajobraz Koło mnie podniósł się krzyk i nagle kilka silnych rąk chwyciło mnie i przerzuciło przez burtę. Wyrzucony tak niespodziewanie poza niegościnny korab, musiałem użyć wszystkich sił, żeby dopłynąć do wybrzeża, oddalonego prawie o kilometr. Żegnały mnie śmiechy i urągowiska majtków.

Gdym wreszcie wylazł napół żywy na brzeg, długo nie mogłem zrozumieć, co się stało. No tak! Trafiłem po ciemku na inny statek i oto zamiast do Liverpoolu, trafiłem na wyspę Rurutu. Dzięki tej omyłce dziesięć lat spędziłem na morzach południowych, zjeżdżając je od Markizów aż do wysp Karolińskich. Lecz także dzięki niej zostałem panem „królowej Marotiri" i jestem dziś wolny od trosk powszednich. No, ale tak mogę mówić dzisiaj, gdy już ta karta mego życia została zamknięta. Wtedy mi było bynajmniej nie do śmiechu. Siedziałem jak najdosłowniej na piasku. Rozbitek, wyrzucony na nieznany ląd i nie mający nic poza łachmanami na grzbiecie Nagle moje niewesołe rozmyślania przerwał głośny śmiech.

Podniosłem głowę. Przede mną stało kilka dziewcząt o czekoladowej cerze, strojnych w czerwone i białe kwiaty. To one tak się śmiały. Rzeczywiście — miały z czego. Tak wyglądałem nędznie. Ale okazało się, że nie robiły tego ze złego serca. Zaraz bowiem usiadły koło mnie i zaczęły częstować mnie bananami i kokosowemi orzechami. Mleczko ze świeżo zerwanych orzechów było tak orzeźwiające i smaczne, że po opróżnieniu kilku orzechów odrazu spojrzałem innemi oczyma na świat. Zaczynała się przecież nie byle jaka przygoda. Przybyłem w takie strony świata, jakichbym nigdy nie zwiedził, gdyby nie przypadek. Zacząłem wtórować śmiechowi dziewcząt, czem je wprowadziłem w jeszcze większy humor. Chwyciły mnie pod ręce i poprowadziły, szczebiocąc coś i powtarzając co chwila słowo Lelono.

Szliśmy wybrzeżem między wysmukłemi i szaremi pniami palm kokosowych. Pomiędzy pniami łaziły duże, brunatno-pomarańczowe kraby, a niektóre wspinały się wgórę ku koronie. Te kraby o bardzo silnych szczypcach strącają orzechy kokosowe i przecinając je swemi potężnemi nożycami, żywią się smacznem wnętrzem.

Z gaju palmowego rozlegał się regularny stukot. Jak się potem przekonałem, stanowi on nierozłączny pogłos każdej wyspy na Pacyfiku, a pochodzi od stuku noży, używanych do otwierania orzechów w czasie robienia kopry.

W wesołym nastroju przeszliśmy gaj palmowy i zbliżyliśmy się do wioski. Oczywiście, nie należy sobie zaraz wyobrazić wioski na wzór polski. Rusztowanie na palach, pokryte liśćmi palmowemi stanowi tutaj jądro każdego domu. W miarę środków przybywa cementowa podłoga, biała farba na drzewie, a nawet deski w miejsce cienkiej plecionki z bambusów lub korzeni pandamusa na ścianach.

Przed taki właśnie wymalowany i świadczący o bogactwie właściciela dom przyprowadziły mnie moje przewodniczki i stanąwszy przed ładnie plecioną matą, zastępującą drzwi, poczęły wołać zgodnemi głosami: Misje Lelono! Misje Lelono!

Usłyszałem groźne chrząknięcie i przed chatę, uchyliwszy maty, wyszedł barczysty jegomość o kędzierzawych, czarnych włosach. Widać było, że wyrwano go z południowej sjesty, gdyż wyglądał na srodze zaspanego. Lecz dziewczęta obskoczyły go i tem trajkotaniem a śmiechem ostatnią resztkę snu z niego wypędziły. To też bacznie mi sie przyjrzał i zapytał po francusku:

— Skąd jesteś chłopcze i co cię przyniosło na Rarutu?

Na szczęście znałem język francuski dość dobrze, więc mu opowiedziałem o swych przygodach i o tem jak widocznie pomyliłem się i przez to przybyłem na jakąś wyspę, o której nic nie wiem i nie mam nawet pojęcia, gdzie się ona znajduje. Francuz się naśmiał dowoli z mojej pomyłki, a potem mi wyjaśnił, gdzie jestem. Widocznie — mówił — wsiadłem na jakiś statek idący do Nowej Zelandji. A że Rarutu leży na szlaku okrętowym, więc wszystwie „steamery" tu

się zatrzymują. Dodał wreszcie, że wyspa ta tworzy część archipelagu zwanego Tubuai, albo też Australijskiego i należy do Francji.

— Tutaj, na Rurutu, nie masz co siedzieć. Wysepka jest mała i pracy na niej nie znajdziesz. A żyć tak jak krajowiec przecież nie będziesz. Ale nie martw się — dodał, widząc moją zasępioną minę — właśnie wspominał mi mój przyjaciel Panetton z Tahiti, że mu potrzeba kogoś do pomocy do sklepu. Tak się składa, że wysyłam szkuner na targ niedzielny do Patini, więc będziesz się mógł zabrać. A tymczasem mieszkaj u mnie.

Pamiętam jak dziś, że to była środa i czas pozostający do niedzieli zużytkowałem na zapoznanie się z wyspą i jej mieszkańcami. Rurutu jest atolem, czyli że powstała ona ze wznoszącej się ku górze kolonii korali. Miljony tych ciekawych żyjątek tworzą potężne osady, a gdy umrą, na ich szkieletach, twardych jak skała, osiedlają się nowe, prąc coraz wyżej, aż utworzy się wyspa. Atole są otoczone skalnym pierścieniem, który chroni wewnętrzną lagunę przed naporem fal oceanu.

Ten pierścień, to jedna z charakterystycznych cech budownictwa korali. To też, gdy o zewnętrzny pierścień rozbijają się fale, wody laguny pozostają zawsze ciche i są tak przeźroczyste, że można widzieć uwijające się w niej jaskrawo ubarwione ryby oraz fantastyczną roślinność dna. Laguna stanowi miejsce zabaw, przejażdżek łodzią i kąpieli. Tutaj nie dotrze już groźny rekin „tygrys", będący postrachem wyspiarzy.

Przechadzając się po wyspie, zaszedłem w ustronne miejsce, znajdujące się na wzgórzu. Między krzewami, pokrytemi purpurowemi kwiatami i między wysokiemi palmami, postawiono na palach rodzaj daszków, a pod niemi walały się przeróżne przedmioty, nagromadzone tu bez ładu i składu. Miednice, garnki, czajniki, a nawet singerowska maszyna do szycia rdzewiały tu bezużytecznie. Przyglądałem się temu ze zdziwieniem, które zmieniło się w oburzenie, gdy w liczbie tych niszczejących przedmiotów znalazłem całkim niezłe pianino.

Później dowiedziałem się, że trafiłem na cmentarz krajowców. Mają oni zwyczaj zostawiać umarłemu na grobie te przedmioty i sprzęty, które lubił za życia.



„...kilka silnych rąk chwyciło mnie i przerzuciło za burtę..."

Na spacerach i zabawach z chłopcami i dziewczętami czas mi zleciał prędko. Poczciwy Lelong, a zwłaszcza jego małżonka, którą wszyscy, nie wyłączając męża, nazywali „wąsala madame", jako, że miała pokaź czarny wąsik, zajęli się mną, jak mogli. Podarowali mi też komplet płóciennego ubrania, składającego się z koszuli i krótkich do kolan spodni, oraz piękny kapelusz krajowej roboty. Tak wystrojony udałem się do Patiti.

Nie będę opisywał mej pierwszej podróży szkunerem. Była ona podobna do setnej i tysięcznej, jakie potem odbywałem. Trzepotanie żagli i łagodne kołysanie się niewielkiego stateczku, ostre komendy kapitana, przerywające na chwilę niekończącą się nigdy piosenkę polinezyjskiej załogi i bezmierna dal oceanu, z której czasem wyłaniają się maleńkie stożki lądu. I takie zdarzenia, jak schwytanie olbrzymiego żółwia, śpiącego beztrosko na falach, albo zastrzelenie rekina, który miał czelność kręcić się naokoło statku. Czasem tę monotonję przerwie spotkanie innego szkunera albo nawet parowca i kapitanowie przez chwilę opowiadają sobie ostatnie nowinki z wysp. Czasem rozlegnie się radosny okrzyk kucharza, któremu latające ryby spadły przed same drzwi od kambuza, jakby prosiły się na patelnię.

Przecudne są noce. Na niebie świecą nieopisanym przepychem świetne konstelacje południa z „Krzyżem Południa" na czele. Świeci również ocean miljardami mikroskopijnych świecących żyjątek. W jego jaśniejącej powierzchni jaskrawo się zaznacza bruzda naszego przejazdu. Ciągnie się on niby ogon komety za okrętem.

Na Tahiti przybyliśmy o świcie. Jest to jedna z najcudowniejszych wysp, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Piękniejsza od niej jest tylko Morea, która ma sławę najpiękniejszej wyspy świata. Posiada ona bowiem wszystko, co służy do upiększenia: koralowy piasek, zatoki przybrane palmami, góry o dziwacznym kształcie i laguny o tak cudownie kryształowej wodzie, że można widzieć w niej jak na dłoni wspaniale ubarwione ryby i koralowe ogrody na jej dnie.

Lecz wróćmy do Tahiti W zatoce Papiti roiło się od szkunerów, a nawet widać było luksusowy jacht jakiegoś z amerykańskich magnatów. Targ na przystani już wrzał w całej pełni. Na trawie i na piasku porozkładano ryby o wszelkich barwach tęczy, chleb, konfekcję, jakieś sosy w przemyślnie zrobionych butelkach z bambusu, owoce drzewa chlebowego, banany, „pao-pao", wieńce z białych i nadzwyczaj wonnych kwiatów drzewa „Tiare Maori", a także żółwie, świnki, drób, jaja, gotowane kraby i tysiące jeszcze innych rzeczy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dokończenie ze str. 21-ej.

tak pod każdym względem doskonały aparat. Dość powiedzieć, że znając właściwości sztuki interpretacyjnej jakiegoś pianisty, rozpozna je się natychmiast w wiernej reprodukcji „Ampica". Tak więc w tym aparacie osiągnięto zupełne rozwiązanie problemu rejestracji i odtworzenia gry instrumentu muzycznego na drugim takim samym instrumencie.

Osobny rozdział muzyki mechanicznej to okrzyczana „muzyka z eteru". Jej twórca, prof. Theremin wpadł na pomysł ujarzmiania samoistnych dźwięków lamp aparatu radjowego, które w nich powstają przez doprowadzanie prądu o różnych napięciach. Zmiana napięcia odbywa się tu przez przybliżanie do aparatu i oddalanie od niego rąk; u innych konstruktorów rolę rąk przejęły lampki elektryczne kieszonkowe (vide zdjęcie), które znowu oddziałują na lampy nie indukcją (jak ręce), lecz wprost światłem. Szczegółowe wytłumaczenie działania tego rodzaju aparatów nie da się niestety uskutecznić w ramach krótkiego artykułu. Powiemy tylko, że zarówno prof. Theremin, jak i inni „eteryczni" wirtuozi popisują się właściwie tylko dobrem opanowaniem dźwięków, do złudzenia przypominających gwizdy w popsutym aparacie radjowym. Nastawiwszy nasz odbiornik na „gwizd", możemy sami przez przybliżanie i oddalanie metalowego pręta wytworzyć pewnego rodzaju melodję, przypominającą grę na pile. Intensywne ćwiczenie doprowadzi nas do wyników prof. Theremina.

* * *

Fotografowanie i utrwalanie dźwięków na taśmie pozwoliło na skonstruowanie wspaniałych organów, odznaczających się rozległą skalą tonów, olbrzymiem bogactwie barw i odcieni. Niema w tem nic dziwnego, jeżeli stwierdzimy, że żaden z dźwięków tych organów nie wychodzi z normalnych piszczałek, lecz, że każdy jest narysowany na szklannej płytce, która za naciśnięciem odpowiedniego klawisza, wiruje przed osobną fotocelą, a ta zkolei odsyła piękny ton do wspólnego głośnika, który zbiera wszystkie dźwięki i pozwala na odtworzenie całej symfonji. To nie żadna fantazja, lecz nowe elektryczne organy inżyniera holenderskiego Weltisa, które z łatwością zastępują całą orkiestrę symfoniczną z chórami i solistami. Na tych organach musi grać kilka osób równocześnie; podobno wrażenie wywierają niezapomniane i niema dźwięku, któregoby na nich nie dało się odtworzyć.

Już kiedyś na łamach „Asa" opowiadaliśmy o możliwościach muzyki syntetycznej — muzyki, której nikt nigdy nie nagrał, lecz która powstała w laboratorjum, narysowana na taśmie. I niema w tem już dzisiaj żadnej fantazji, jeżeli powiemy, iż wkrótce nadejdzie dzień, w którym Mickey Mouse, czy Betty Boop, czy wkońcu inna jakaś sympatyczna postać, istniejąca tylko na rysunku, zaśpiewa prześlicznym głosem, którego nikt w rzeczywistości nigdy nie wydał z siebie, lub zagra na fortepianie, którego dźwięki wyczarowała fantazja dobrego rysownika.

Mgr. L. (C.).



Po próbie...

Od chwili, gdy przy ul. Karowej otwarł swe podwoje nowy teatr operetkowy stolicy „Widowisko" — odkąd w jego murach rozbrzmiewają na nowo melodje zapomnianej, a jak pięknej operetki Lehara, „Wesołej wdówki" — na deskach tej sceny występuje rasowa tancerka, która na swej zgrabnej i młodością promieniejącej postaci skupia uwagę całej widowni. Ale nietylko wdzięk i uroda artystki decydują tu o stopniu zainteresowania. Jej niewątpliwie wysokie umiejętności taneczne są również walorem, który zadecydował, że nazwisko Ludmiły Kołpikówny, bo o niej tu mówimy — jest wysoko notowane na giełdzie artystycznej wielu stolic europejskich.

— Ale jak do tego doszło?

— Bardzo poprostu — zaczynają w takich razach tancerki swoją opowieść.

— Bardzo niezwykle — rozpoczęła ją Miła Kołpikówna. — Tancerką miała zostać moja starsza siostra... Uczęszczała do szkoły baletowej, do której i ja chodziłam, ale tylko poto, by przyglądać się i potem w domu naśladować jej ćwiczenia. Wkońcu rodzice doszli do przekonania, że mam talent wiernego naśladowania innych. Zwykle, gdy byli goście u nas, musiałam się tem właśnie — bynajmniej nie tańcem — popisywać. Aż wreszcie pewnego dnia zobaczył mnie Ludwik Solski i namówił moich rodziców, aby i mnie zapisali do szkoły baletowej. Miałam wtedy zaledwie lat 14, a do szkoły baletowej w Teatrze Wielkim przyjmowano tylko dzieci w wieku 8—9 lat. Dzięki poparciu Solskiego zrobiono dla mnie wyjątek i dziś po latach intensywnej pracy moja sytuacja rodzinna wygląda w ten sposób, że siostra, którą tylko naśladowałam, dawno już zapomniała o tańcu i jest panią inżynierową, a ja zostałam primabaleriną...

— Ale przecież nie stało się to zaraz po wyjściu ze szkoły?

— Otóż właśnie, że tak! Skończywszy szkołę, wystąpiłam odrazu jako primabalerina teatru „Nowości". Potem tańczyłam na deskach Teatru Wielkiego, by wkrótce przenieść się do Polskiego, gdzie grałam w „Rozkosznej dziewczynie" razem z Romanówną i Symem. Mając w ten sposób za sobą operę, operetkę i komedję muzyczną, otrzymałam czwartą propozycję: wystąpienia w rewji. Postanowiłam i tego zakosztować i w ten sposób zostałam primabaleriną teatru „Wielka Rewja". Wszystko to jednak były występy — krajowe. Wyjazd zagranicę zawdzięczam Feliksowi Parnellowi, z którego zespołem objechałam niemal całą Europę. Niemcy wzdłuż i wszerz; Francję z jej cudownemi miejscowościami kąpielowemi, nie wyłączając słonecznej Riwiery; Holandję, Belgję, Szwajcarję, Włochy... Moc wspomnień, moc wrażeń i moc nowych propozycyj. Przez pewien czas tańczyłam także w zespole Loie Fuller, z którym rozstałam się zupełnie przypadkowo. Wyjechawszy bowiem do kraju na wakacje, zdecydowałam się za namową rodziny wystąpić razem z Eugenjuszem Paplińskim na deskach operetki „Widowisko". Do premjery przygotowywaliśmy się z całem nabożeństwem. — Chodziło mi bowiem o to, by mój pierwszy występ po powrocie do kraju wypadł jak najlepiej. Warunki pracy, jakie tu znalazłam, określić mogę tylko jako bardzo sympatyczne. Baletmistrz Papliński, pełen inwencji i zapału tancerz, jest naprawdę świetnym partnerem, który wyczuwa styl idealnie i zawsze znajdzie dla niego najodpowiedniejszą formę choreograficzną. Dlatego taniec z nim zaliczyć mogę tylko do rzędu najbardziej wartościowych przyjemności artystycznych. Kontrakt podpisałam tylko na jedną operetkę, „Wesołą Wdówkę"..



„Na codzień"...

— Dłużej pani nie zostanie?

— Nie wiem jeszcze, jak to będzie. Zagranica nęci i wabi. Tam można się bowiem o wiele szerzej wypowiedzieć na scenie. Ciągła zmiana miejsca pobytu daje także wiele emocji i sposobności do prawdziwych sukcesów artystycznych. A tu znów...

MIŁA KOŁPIKÓWNA MÓWI O SOBIE...

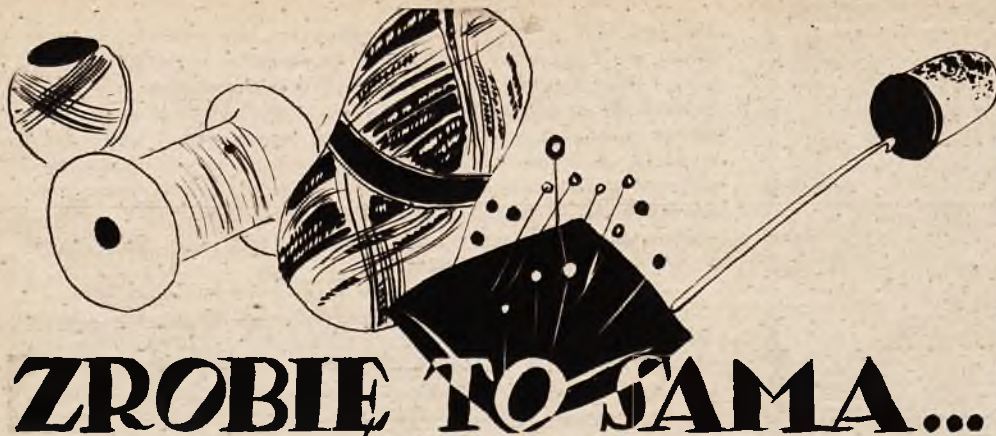
I nie dokończyła już zdania: „Tam sława, a tu serce", bo musiała wybiec na scenę, na którą wzywał ją z garderoby już trzeci natarczywy dzwonek inspicjenta.

H. L. — El.



Na lewo: W tańcu na palcach...

Zdjęcia fot. „Van-Dyck", Warszawa.

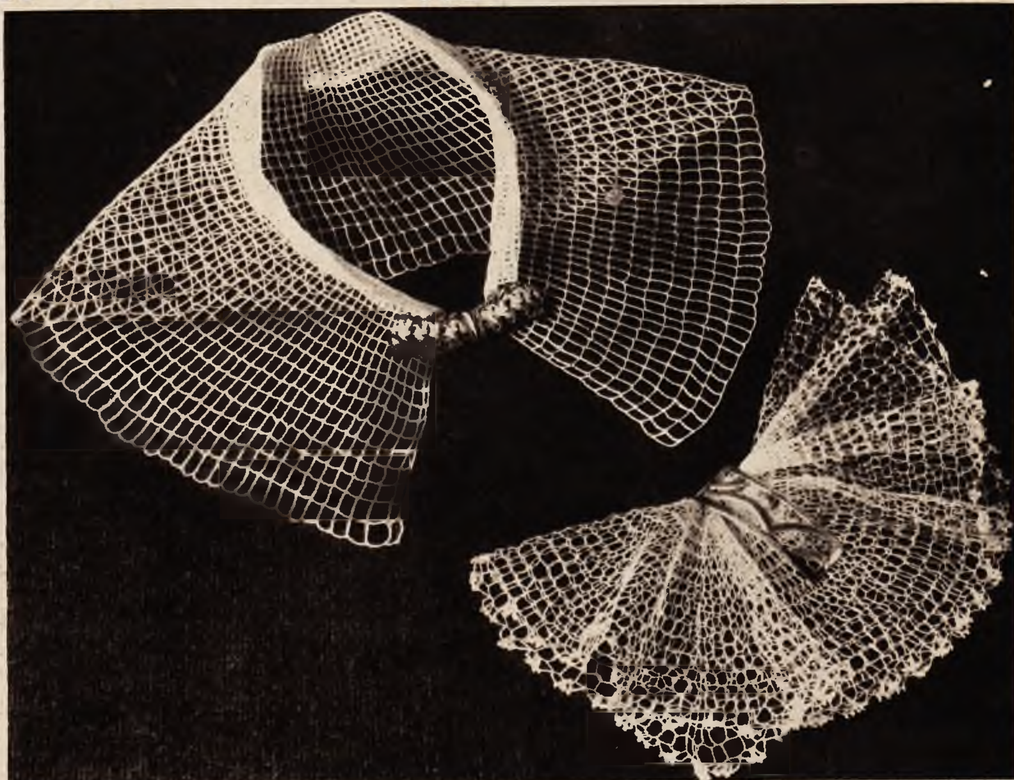


drobiazgi wykonane szydełkiem

ZROBIĘ TO SAMA...

Roboty szydełkowe torują sobie coraz większe zastosowanie w garderobie pięknej pani. Prześliczne karczki i motywy inkrustują jedwabne koszulki nocne, harmonizując z niemi kolorem ładnych cieniutkich nici bawełny szydełkowej Kołnierzyki i żabociki szydełkowe zalecają się delikatną siateczką motywów, bardzo nowoczesnych, a jakże przytem prostych i łatwych do wykonania.

Oto dwa takie wzory reprodukujemy dzisiaj. Potrafi je wykonać każda z pań, przy odrobinie cierpliwości i pewnej wprawie w szydełkowaniu, co jest o tyle potrzebne, że wzór złożony z samych kwadracików, nie wyszedłby ładnie, gdyby był robiony raz wolniej, a raz gęściej, co przy początkowych robótkach szydełkowych jest nieuniknione. Ale i tem nie należałoby się zrażać. Przećwiczywszy wzór na jakimś starym kordonku, łatwo dojść do potrzebnej wprawy.



Kołnierz i żabot, wykonane techniką szydełkową.

Kołnierzyk. Do wykonania kołnierzyka szydełkowego, przedstawionego obok na fotografji potrzebujemy 5 g bawełny szydełkowej nr. 80 i szydełka nr 13. Zaczynamy robotę od najwęższej części kołnierzyka, która stanowi podwójnie złożony pasek z 16-tu rzędów zwyczajnych dziurek. Stosownie do objętości szyji oraz zależnie od tego, czy chcemy mieć kołnierzyk zapinany tuż pod szyją, czy trochę niżej, przygotowujemy łańcuszek ze 120—150 oczek. Ilość ich zależna też będzie od gęstości roboty. Kto szydełkuje wolniej, musi wziąć mniejszą odpowiednio ilość oczek, kto szydełkuje ciaśniej, temu ilość oczek odpowiednio musi być zwiększona. Na tym łańcuszku wykonuje się 16-cie rzędów dziurek (rząd pierwszy: słupek raz nawijany, dwa oczka w powietrzu, słupek raz nawijany, wbijany w trzecie oczko łańcuszka). Dziurki te znajdują się nad sobą, a więc słupki nad słupkami a oczka nad oczkami, co uzyskujemy, wbijając słupki w słupki poprzedniego rzędu. Przy rozpoczęciu każdego nowego rzędu, wykonujemy w powietrzu 5 oczek łańcuszka, który stanowi pierwszą dziurkę nowego rzędu.

Po zrobieniu 16-tu rzędów dziurek jednolitych, rzędy następne będą ulegały stopniowym zmianom, które pozwolą uzyskać okrągły kształt kołnierzyka i coraz poszerzające się w swym obwodzie dziurki.

Cztery następne rzędy zmieniają się o tyle, że pomiędzy słupkami wykonujemy po 3 oczka, a nie jak poprzednio po 2 oczka. Przy brzegu każdy nowy rząd zaczynamy tutaj łańcuszkiem z 6-ciu oczek, które stanowią pierwsze oczko danego rzędu.

Następnie cztery rzędy robimy słupkami dwa razy nawijanemi, pomiędzy któremi w dalszym ciągu wykonujemy po 3 oczka w powietrzu. Każdy nowy rząd zaczynać tu będziemy łańcuszkiem z 7-miu oczek, które stanowią pierwszą dziurke danego rzędu.

Dalsze cztery rzędy wykonujemy nadal słupkami dwa razy nawijanemi, a między niemi zwiększamy ilość oczek na powietrzu do 4-rech. Przy brzegu każdy nowy rząd rozpoczynamy łańcuszkiem z 8-miu oczek, które stanowią pierwszą dziurkę danego rzędu.

Ostatnie cztery rzędy kołnierzyka wykonujemy w dalszym ciągu słupkami dwa razy nawijanemi, pomiędzy niemi zaś po 5 oczek w powietrzu. Przy brzegu każdy nowy rząd zaczynamy od 9 oczek łańcuszka, które stanowią w każdym swoim rzędzie pierwsze oczko siateczki.

Zakańczamy nitkę kilkoma ściegami igłą i kołnierzyk jest gotowy. Spięty barwną broszką po złożeniu w pół górnej części kołnierzyka, wykonanej jednakową siatką, przedstawia się jako świeża i modna ozdoba stroju z kategorji „petit rien", które tak dużą rolę grają dziś w modzie.

Żabocik. Do wykonania żabocika szydełkowego, przedstawionego powyżej, potrzeba 5 g bawełny szydełkowej nr. 80 albo 100 i szydełka nr. 13 lub 14. Zaczynamy robotę od 8 oczek łańcuszka. Zamykamy go, poczem robimy 6 oczek w powietrzu na pierwszą dziurkę ażurka, z którego cały jest wykonany. W obrębie łańcuszka robimy 20 dziurek, wykonanych z raz nawijanych słupków i 3-ch oczek w powietrzu pomiędzy niemi. Słupki robimy luźnie w łańcuszku środkowym tak, że w jego dość ciasnym obwodzie ośmiu oczek zmieści się 20 słupków.

Po zrobieniu 20 dziurek nie zamykamy koła, lecz ślimacznicą robimy je dalej, a to w ten sposób, że nad dziurką wypada słupek dziurki następnego rzędu. Słupka tego nie wbijamy w łańcuszek rzędu poprzedniego, lecz obejmujemy go nim tak, że może się on luźnie poruszać na przestrzeni danego łańcuszka. W drugim rzędzie na każdej dziurce poprzedniego rzędu robimy dwie dziurki, przez co ilość dziurek się podwoi. Rząd trzeci również podwajamy, z czego na kole mamy już 80 dziurek. Przy zdwajaniu jeszcze następnego rzędu, otrzymamy 160 dziurek na jednym obwodzie. Na tej ilości już poprzestajemy i robimy dalsze rzędy już bez dodawania dziurek, pozostawiając stale na obwodzie 160 dziurek. W ten sposób robimy bez zmiany 12—16 rzędów, zależnie od wielkości żabocika.

Jako zakończenie wykonujemy na obwodzie koroneczkę: 6 oczek w powietrzu, z których robimy pikocik, wbijając szydełko w 3-cie oczko i przerabiając. Po pikociku słupek raz nawijany, obejmujący łańcuszek odpowiedniej dziurki poprzedniego rzędu. Do tej samej dziurki wrabiamy następne dwa słupki, pomiędzy któremi robimy pikociki (słupek, 4 oczka w powietrzu, zamknąć jak poprzednio w pierwszem oczku, jedno oczko na powietrzu, słupek). Po tych trzech słupkach i pikociku, jeszcze dwa oczka w powietrzu i zamykamy ząbek koroneczki w ten sposób wykonanej, niskim słupkiem zaczepionym o następną dziurkę poprzedniego rzędu. Każdy następny ząbek koroneczki robimy tak samo, zaczynając od 6-ciu oczek w powietrzu z pikocikiem, potem 3 słupki raz nawijane z pikocikami pomiędzy niemi i łańcuszek z pikocikiem, zamykający ząbek.

Po odcięciu nitki na zakończenie zaszywamy ją kryto cienką igłą. Żabocik składamy w pół i przytrzymujemy klipsem lub broszką.

H-a.

KĄCIK DOBREJ GOSPODYNI.

JAK PRZYRZĄDZAĆ KABACZKI?

Kabaczki a la szparagi: obrane ze skórki kabaczki, po odrzuceniu ziarenek, kraje się w podłużne paski kształtu szparagów i gotuje w solonej wodzie, dodając nieco octu. Gdy zmiękną, odlewa się wodę przez druszlag i podaje kabaczki jak szparagi z masłem przyrumienionem z bułeczką. Są delikatniejsze od szparagów, a w dodatku mamy je o takiej porze, kiedy szparagi są wogóle nie do pomyślenia.

Kabaczki faszerowane połówkami: obrane kabaczki, przekrawywać wzdłuż na połówki, wydrążyć i odgotować w słonej wodzie. Następnie napełniać farszem przygotowanym z ryżu lub makaronu (trzy dobre łyżki) drobno posiekanego, 3/4 kg pomidorów, łyżeczki tartej bułki i 8 dkg masła. Smażyć na oliwie.

Kabaczki w sosie beszamelowym: obrane ze skórki kabaczki, kraje się w dość grube plasterki-krążki i odgotowuje na osolonej wodzie. Po odcedzeniu, układa się je na ogniotrwałym półmisku szklanym, wysmarowanym masłem, przekładając krążki masłem i zalewa wszystko jak najgęściej przyrządzonym sosem beszamelowym. Wstawia się do gorącej rury, aby się zapiekły aż do złocistego koloru beszamelu.

Kabaczki w szlafroczkach: przygotować kabaczki pokrajane w krążki. Osobno zrobić ciasto w proporcji 6 żółtek, trochę cukru, łyżka deserowego masła, 2 kopiate łyżki mąki i piana z pozostałych białek. W tem cieście macza się krążki i smaży na smalcu (można na pół z masłem), posypując na półmisku cukrem. Można do nich podać także jakikolwiek sok owocowy.

Kabaczki faszerowane: wybrać średniej wielkości kabaczki (bywają wśród nich prawdziwe olbrzymy, które do tego celu nie nadałyby się), obrać i ściąwszy z jednego końca, wydrążyć. Przygotować farsz z mięsa wieprzowego z dodatkiem jaja, cebulki na maśle przysmażonej i bułki namoczonej w mleku, dodając soli i gałki muszkatułowej. Można też zrobić farsz z cielęciny, do której prócz zwykłych dodatków, bierzemy dość dużo siekanej natki pietruszki lub kopru. Na post robimy farsz z ryżu, zaprawionego kilkoma siekanemi grzybkami i jajami gotowanemi na twardo. Farszem napełniamy przygotowane kabaczki i smażymy w dużej ilości masła ze wszystkich stron. Potem przekładamy je do rondla, zalewamy sosem pomidorowym, dusząc dobry kwadrans pod pokrywą. Wreszcie zaprawiamy je zasmażką białą, rosołem lub buljonem i tak dusimy jeszcze pół godziny.

Kabaczki w purée pomidorowem: przygotować kabaczki jak do zapiekania w beszamelu. Osobno zasmażyć na dwóch łyżkach masła posiekaną cebulę, dodać 6 dużych pokrajanych drobno pomidorów i udusić razem aż zmiękną. Wtedy przetrzeć przez sito, dodać łyżkę mąki ziemniaczanej i odstawić do zimna, aby zastygło. Potem wysmarować szklany ogniotrwały półmisek masłem, nałożyć puree pomidorowe i kabaczki, zakrywając je całkowicie i posypując wszystko parmezanem. Piec w rurze, wydając potrawę bardzo gorącą.

Ostry kompot kabaczkowy: obrany i pokrajany w kostkę kabaczek zalać mocnym zimnym octem, postawić do gotowania pod pokrywą, aż stanie się zupełnie przeźroczysty. Wtedy odcedzić ocet, a kompot zalać syropem w stosunku 1 kg cukru i 2 szklanki wody na każdy kilogram kabaczka. Zupełnie letnim syropem zalać kabaczki. Na drugi dzień zlać syrop, dodać 1/2 funta cukru i gorącym zalać kabaczki. Trzeciego dnia powtórzyć to samo, dodając znów 1/2 funta cukru. Tymczasem każdą kostkę kabaczka ubrać dwoma goździkami, obsypać imbirem i zalać gorącym syropem. Na czwarty dzień znów osobno pogotować syrop przez kwadrans, wystudzić i zimnym zalewać kabaczki, złożone już do słoików. Zawiązywać zwyczajnie celofanem.

Konfitura kabaczkowa: z niedojrzałych kabaczków wykrawuje się okrągłą łyżeczką żelazną ładne kulki. Kładziemy je na sito i przelewamy kilkakrotnie gotującą się wodą. Osobno przygotowujemy syrop z 3 funtów cukru na 1 kg kabaczków. Syrop powinien być niezbyt gęsty. Gdy zacznie się perlić dodajemy do niego sok z 2 cytryn i wrzucamy przygotowane kabaczki i smażymy na wolnym ogniu jakieś pół godziny, starannie szumując. Po złożeniu do słoików i wystudzeniu zawiązuje się konfitury celofanem i stawia w suchej spiżarni.

Jot.

ŻYCIE
towarzyskie i artystyczne

BIEGI MYŚLIWSKIE





Pięknem urozmaiceniem jesiennego sezonu jeździeckiego są biegi myśliwskie, organizowane we wszystkich miejscowościach Polski, gdzie tylko uprawia się sport jeździecki. W Krakowie wielki tego rodzaju bieg zorganizował Krakowski Klub Jazdy Konnej w dn. 15 b. m. W biegu wzięło udział ok. 70 jeźdźców i amazonek, przybył także prezes Klubu płk. Piasecki. Mastrem biegu był ppłk. Pasternak, a kontrmastrem kpt. Gąsiecki. W Katowicach połączono bieg myśliwski z uroczystością poświęcenia kapliczki pod wezwaniem św. Huberta. Powyżej zamieszczamy zdjęcie grupy uczestników biegu myśliwskiego w Krakowie, na lewo zaś grupę uczestników biegu w Katowicach.

Z WYSTAWY J. BRONIEWSKIEJ



Znana rzeźbiarka p. Janina Broniewska wystawiła w Tow. „Zachęty" w Warszawie z okazji 30-lecia swej działalności artystycznej, kolekcję swych pięknych prac. Reprodukujemy karykaturę w rzeźbie, przedstawiającą jedną z polskich „królowych piękności".

TEATR »8 m. 15«



W Warszawie powstał ostatnio w dawnym gmachu kina „Corso" nowy teatr „8-m. 15" pod dyrekcją znanego reżysera operetkowego Witolda Zdzitowieckiego. Na pierwszy ogień poszła komedja muzyczna Grüna „Gaby". Na zdjęciu od lewej: pp. Laskowski, Czerska i Rakowiecki.

„RÓŻA" ŻEROMSKIEGO W POZNANIU.

Teatr Nowy w Poznaniu wystawił ostatnio z okazji święta Niepodległości potężny poemat dramatyczny Stefana Żeromskiego pod tyt. „Róża". Widowisko stało się triumfem artystycznym tego teatru. Układ tekstu, inscenizacja i architektura sceny Janiny i Juljusza Balickich spotkała się z zasłużonem uznaniem krytyki. Na ilustracji naszej scena z obrazu „W ochranie". Na pierwszym planie: naczelnik ochrany — Ryszard Wasilewski, Oset — Juljusz Balicki i Czarowic — dyr. Juljusz Lubicz-Lisowski.



Plaża w zimie...



Pokaz modeli na sezon zimowy.



Krytyczne spojrzenia publiczności.

Niejedna z was — piękne Czytelniczki— widząc powyższy tytuł, pomyśli sobie: Przecież to nie dla mnie. Kogo dziś stać na wyjazd na Południe, gdzie ciągle jeszcze panuje cudne lato, gdzie gorące promienie słoneczne dają ludziom przez niemal cały rok możność rozkoszowania się tem wszystkiem, co my — zwykli śmiertelnicy, mieszkańcy „Północy" — przeżywamy zaledwie przez dwa, lub najwyżej trzy miesiące?

Otóż bynajmniej nie o to chodzi! Pisząc o plaży w zimie, nie mamy na myśli zalanych potopem słonecznego żaru piasków wybrzeży Śródziemnego Morza, lub zgoła zacisznych zatok Florydy czy Kalifornji. Nie chodzi nam o garstkę szczęśliwych wybrańców, którym los zezwolił łaskawie na wyszukiwanie w życiu tylko jaśniejszych jego momentów. Pragniemy opowiedzieć wam — piękne panie — o podobnych przyjemnościach, które za stosunkowo niewielką opłatą stają się dostępne wszystkim mieszkańcom większych stolic europejskich, w których za niedługo spadną pierwsze śniegi, a mróz roztoczy swoje nieubłagane władztwo.

W tych niecodziennych warunkach, gdy prosto z zasypanej puchem śnieżnym ulicy wchodzi się „za jedne" dwa, czy choćby trzy marki, franki lub szyllingi w sam środek raju Południa, potrzeba wyjazdu na dalekie plaże Riwiery odżywa tylko u tych, u których pieniądz nie odgrywa najmniejszej roli, a „pokazanie się" na modnym odcinku życia w szeregach międzynarodowego high-life'u pozostanie nazawsze kwestją prestiżową.

W Paryżu, czy Londynie — w Wiedniu i Berlinie istnieją wielkie zakłady kąpielowe, które rok rocznie rozpoczynają swój sezon w jesieni. Gdy z drzew opadną ostatnie liście, a szron wybieli rankiem dachy kamienic, wówczas tam, w rozległych halach, wokół basenów, nierzadko wyposażonych w sztuczne łachy piaskowe, zaczyna pulsować życie conajmniej z takiem nasileniem, jak w porze letniej nad brzegami mórz, jezior i rzek

Jak wygląda takie zimowe kąpielisko? Punktem centralnym, około którego „wszystko się kręci", jest hala z basenem pływackim, zbudowanym zazwyczaj z jasnych kafli. Wzdłuż brzegów biegną szerokie wgłębienia, wyłożone workami z trocin, na które dopiero wysypano sporą ilość czystego piasku. Imituje to do złudzenia prawdzi-



I na plaży „zimowej" nosi się oryginalne płaszcze kąpielowe...
Wszystkie zdjęcia: LORANT — Londyn.



Na prawo: Spódnica z celofanu zastępuje na plaży „zimowej" noszone w lecie spodnie marynarskie...

wą plażę i daje okazję do wygodnego leżenia wprost na piasku, a nie na leżakach, które w innych zakładach zastępują taką bądź co bądź kosztowną instalację. Miłośnicy sportu pływackiego, a raczej skoków do wody znajdą tam zawsze okazję do wykazania swych umiejętności, raz dlatego, że baseny w takich zakładach obliczone są pod względem przestrzeni na wielką liczbę kąpiących się, powtóre wyposażenie techniczne jest zwykle bardzo bogate i obejmuje wszelkiego rodzaju trampoliny, a nawet wieże do skoków.

Jednem z najważniejszych urządzeń — to specjalne lampy elektryczne, w świetle których basen tonie dosłownie w powodzi światła dziennego, oraz równie ważne radjatory, utrzymujące atmosferę pływalni w równej temperaturze. Dzięki tym aparatom ogrzewającym wyjście w mokrym kostjumie z wody na brzeg basenu zupełnie nie jest przykrem. Skomplikowane urządzenia wentylacyjne zapobiegają zbytniemu nasiąkaniu powietrza parą wodną i sprowadzają do pływalni z specjalnej komory powietrze górskie, sztucznie wytwarzane.

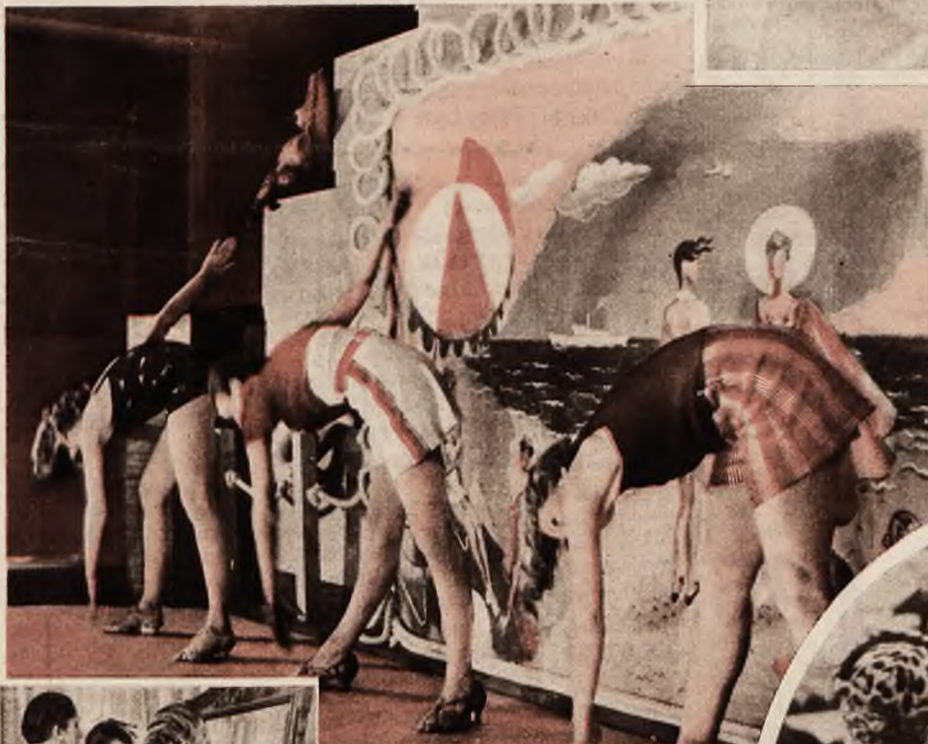
Szeroką przestrzeń między brzegami basenu a ścianami hali wypełniają z jednej strony różne przyrządy gimnastyczne, z drugiej zaś stoliki „plażowej" kawiarni, przy których uczestniczki i uczestnicy rozkoszy takiej zimowej kąpieli mogą się posilić po trudach sportowych wyczynów i może równie denerwującym... flircie na sztucznej plaży.

Centralna hala z basenem posiada liczne przybudówki, w których mieszczą się przedewszystkiem garderoby od najskromniejszych do najbardziej luksusowych. Pierwsze, po kilkanaście razem obsługuje kąpielowy lub kąpielowa. — Drugie, mają każda dla siebie własną służbę, doskonale obznajomioną z rozlicznemi kaprysami eleganckiej society. Wygodnemi korytarzami dochodzi się do salonów fryzjerskich, które również podzielone są na klasy, oraz do salonów kosmetycznych, słynących z najbardziej nowoczesnych urządzeń. Tam wytworna pani — której opalenizna z lata zbladła lub zupełnie znikła z pięknego ciała — znajdzie aparat, kolorujący skórę w wszelakich odcieniach (vide zdjęcie). Inne znów aparaty wygładzą zmarszczki, uskutecznią skomplikowany masaż, utrwalą kolor warg, przydłużą rzęsy itd. itd. — Dzięki tym zabiegom elegantka wychodzi w zimie na sztuczną plażę może nawet lepiej „przygotowana", niż w lecie nad brzegiem morza lub rzeki. Ważną sprawą będzie wybór kostjumu.



Opalenizna z lata zbladła lub całkiem znikła. — Zastąpi ją sztuczna, wytworzona specjalnym aparatem...

Pokaz mód w zimowem kąpielisku gromadzi często najwytworniejsze towarzystwo stolicy. Specjalnie dobrane, piękne modelki demonstrują kreacje wielkich magazynów, a mężowie, no i przedewszystkiem.. synowie mają wówczas okazję do wygłaszania krytycznych uwag, które nie zawsze odzwierciedlają ich prawdziwe myśli i pragnienia. Ma to jednak miejsce tak długo, dopóki „piękniejsza połowa" rodzinki znajduje się w pobliżu. Wejście na halę kąpielową staje się dla wszystkich równoznaczne z hasłem nieskrępowanej swobody. *RODNEY*



Modelki demonstrują podczas pokazu gimnastykę plażową...

Na prawo: Czapki futrzane na widowni kontrastują z kostjumami kąpielowemi na estradzie...



Na lewo: Przed pokazem trzeba się „zrobić na bóstwo".

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

RAGOUT Z GOŁĘBI. 4 oczyszczone, młodo gołębie soli się i obrumienia szybko na maśle, poczem się je wyjmuje a na pozostałe masło wsypuje się łyżkę mąki, podsmaża, zalewa zimnym rosołem, rozprowadza na rzadki sos, do którego się wkłada pokrajane na ćwiartki, obrumienione gołębie, parę pieczarek i szalotek, trochę skórki i soku cytrynowego, poczem dusi się gołębie pod pokrywą aż zmiękną. Ragout podaje się otoczone przez purée z gotowanych kasztanów, lub z knedelkami wątrobianemi, sporządzonemi z 12 dkg duszonej i zmielonej wątróbki cielęcej, 1 bułki rozmoczonej w mleku, 2 żółtek utartych z łyżką masła, piany z 2 białek oraz troszki tartej bułki, o ile masa jest za wolna. Knedelki gotuje się w słonej wodzie przez 6—8 minut.

SAŁATA WŁOSKA W AUSZPIKU. Ugotowane różne jarzyny, jakie dana pora roku przynosi, a więc, jak obecnie: parę buraczków, marchew karotkę, dwa duże ziemniaki pokrajać w drobną kostkę. Innemi dodatkami, również drobno pokrajanemi są: nieduże kwaśne jabłko, parę korniszonów, parę marynowanych grzybków, dwa na twardo ugotowane jaja, z których sieka się białka, żółtka zaś pozostawia do majonezu, garstka miękko ugotowanej sałatowej fasolki, trzy posiekane sardelki, kawałek jakiejkolwiek pieczeni, pokrajanej w płatki.. Sałatę miesza się z gęstym sosem majonezowym, utartym z 2 twardych i 2 surowych żółtek z łyżką francuskiej musztardy i 4 łyżeczkami oliwy oraz octem lub sokiem cytrynowym. szczyptą soli, cukru i pieprzu. Tak przyrządzoną sałatę można podać bez dalszych przypraw, ułożoną kopiasto na szklanej salaterce i przybraną majonezem, groszkiem zielonym i gałązkami zielonej pietruszki. Do większych przyjęć podaje się ją z formy zamrożoną w auszpiku. Daje to trochę więcej pracy, ale wynik jest bardzo dobry. Auszpikiem przygotowanym z nóżek i kości cielęcych wylewa się na palec grubo formę, umieszczoną w lodzie. następnie układa się na zastygłym auszpiku wzorek z buraczków, twardych jaj, groszku, fasolki, grzybków, zielonych listków pietruszki itp. Na to nalewa się ostrożnie trochę ostudzony auszpik na palec grubości. Po zastudzeniu zupełnem nakłada się poprzednio przygotowaną sałatę lub tylko połowę, o ile jest większa ilość, a forma nieduża, następnie warstwę auszpiku itd. Ostatnią warstwę stanowić ma auszpik. Forma powinna przez 2 godziny stać w lodzie. Przed wyjęciem okłada się formę na minutę ściereczką, umaczaną w gorącej wodzie, przykrywa formę odpowiednią płytą porcelanową lub kryształową i zręcznie odwraca, poczem się formę gładko zdejmuje.

Sałatkę w auszpiku zamrażać również można w małych formach, które się następnie układa na półmisku, a wolne miejsca wypełnia auszpikiem, zabarwionym kolorowo.

WHITE CAKE (angielskie ciasto do herbaty). Pozostałe często w gospodarstwie białka można zużytkować na doskonałe pieczywo. Żółtka, zastępuje się masłem w tym wypadku. Przepis brzmi: 6—7 białek ubija się na tęgą pianę: ubijając dalej dosypuje się 20 dkg mączki cukrowej z zapachem cytrynowym i 10 dkg świeżego, roztopionego masła. Dalszemi dodatkami są: 1 dkg miałko utłuczonych. gorzkich migdałów, pół szklanki mleka i 25 dkg dobrej sypkiej mąki, zmieszanej z łyżeczką proszku do pieczywa. Ciasto wlewa się do wąskiej formy. natartej masłem i piecze przez godzinę, uważając, aby zbyt często nie zaglądać ,gdyż łatwo opada. Na drugi dzień kraje się ciasto na kształt sucharków, polewa cukrem utartym z 2 białek i 12 dkg mączki cukrowej i obsusza w letnim piecu. Dobre jest również ciasto nie lukrowane, podawane na legominę z szodonem lub sokiem owocowym.

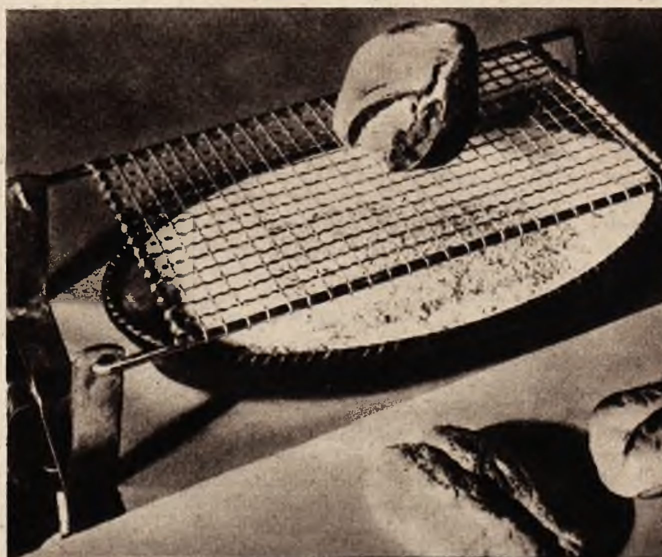
MINESTRA. Zupa ta spotykana zawsze na jadłospisach włoskich i francuskich, jest potrawą bardzo w krajach południowych popularną. Podajemy przepis trochę przystosowany do naszego sposobu gotowania, tj. z opuszczeniem oliwek, oliwy, ryb itp.

20 dkg mięsa cielęcego pokrajać drobno i udusić na sporej łyżce masła z poszatkowaną i zrumienioną poprzednio niedużą cebulą, nie zapomniawszy posolić i popieprzyć mięsa. Podlać to rosołem i dusić około 30—40 minut, poczem dodać małą główkę włoskiej kapusty, pokrajaną i odgotowaną przez parę minut, następnie dobrze z pierwszej wody odcedzona. Dalszym dodatkiem jest 10 dkg ryżu odparzongo poprzednio. Wszystko zalewa się litrem rosołu z kości cielęcych, przykrywa się szczelnie i gotuje aż wszystko będzie miękkie, co zwykle wymaga jeszcze 20 minut powolnego gotowania. Przed wydaniem dosypuje się łyżeczkę siekanej, zielonej pietruszki .

UWAGA: W Nrze 45 „Asa“ zaszła omyłka przez wypadnięcie jednego wiersza. Mianowicie w przepisie na „**paszteciki z cielęciny**“ między wierszem 14—15 brakuje słów: „wykrojone poprzednio małe placuszki, posmarowane rozbitem żółtkiem...“.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Nowe tarełko do jarzyn, ziemniaków lub bułek jest umieszczone poziomo, przez co znacznie wygodniejsze jest w użyciu i wyklucza otarcie skóry na palcu przy przecieraniu czegokolwiek.

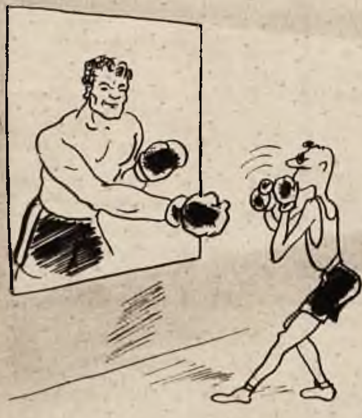
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 48 **Listopad** Dni 30
Niedziela **22** Cecylji p.	Zupa kalafiorowa. Omlety z szynką. Perliczka pieczona z kompotem. Krem czekoladowy z kruchemi ciastkami. Kolacja: Pasztet z dziczyzny z włoską sałatą.
Poniedziałek **23** Klemensa	Zupa "minestra". Kalafior i brukselka w beszamelu. Potrawka z zająca z bułkowemi knedelkami. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Smażona kiełbasa z szpinakiem.
Wtorek **24** Emilji, Jana od K.	Krupnik na grzybach z śmietaną. Kapusta faszerowana. Ragoût z gołębi z makaronem. Kruchy placek z serem. Kolacja: Jaja na szynce.
Środa **25** Katarzyny	Zupa fasolkowa przecierana z grzankami. Ryż z pomidorowym sosem. Nadziewany mostek cielęcy z smażonemi ziemniaczkami i marchewką. Kompot mieszany. Kolacja: Gołąbki z kapusty i ryżu.
Czwartek **26** Konrada	Rosół z lanem ciastem. Kaszka krakowska na grzybowym smaku. Kotleciki baranie z jarzynkami. Legomina z bułek w czerwonem winie. Kolacja: Hachée z mięsa rosołowego z jajem.
Piątek **27** Wirgiljusza	Barszcz zabielany z twardem jajem. Mieszane jarzyny z wody z masłem. Karp lub dorsz w sosie sardelowym z kluseczkami. Strudel ziemniaczany z winną pianką. Kolacja: Szproty, biklingi, rzodkiewka itp.
Sobota **28** Krescentego	Zupa z jarzyn puree z grzankami. Kapuśniaczki drożdżowe. Pieczeń z zająca lub sarny z makaronem i brusznicami. Omlet z konfiturą. Kolacja: Wątróbka po wiedeńsku.

HOCKI-KLOCKI

PRAKTYCZNE ZASTOSOWANIE FILMU PLASTYCZEGO.



Trening bokserski z Maksem Schmellingiem.

Rozwiązania z N-ru 46-go.

LICZENIE TRÓJKĄTÓW.

Pięciobok zawiera 35 trójkątów.

MYŚLIWI I LIS.

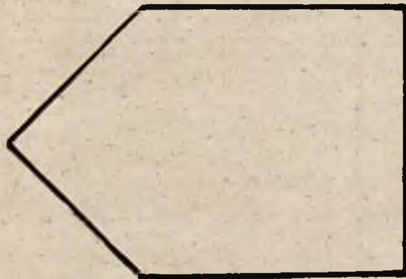
Lis ważył 33 kilo.

ZADANIE OGRODNICZE.

Jasne jest, że ogólna ilość nasion wynosiła x^3. Każda sześcienna liczba podzielona przez 7, daje reszty 6,1 lub 0. Ponieważ ogrodnik zasiał resztę nasion (a więc nie jedno, lecz kilka), musiał zasiać 6.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

STOLARSKIE ZAGADNIENIE.



Stolarz chciałby deskę o kształcie i proporcjach, wskazanych na rysunku, rozciąć na możliwie najmniejszą ilość części, a następnie skleić z nich kwadratowy blat stołu. W jaki sposób może to zrobić, nie tracąc nic materjału? Na ile części trzeba rozciąć deskę?

KIESZONKOWE PIENIĄDZE.

„Gdy szedłem rano na dworzec kolejowy — opowiadał pan Wróbel swemu przyjacielowi panu Kanarkowi — wydałem połowę pieniędzy, które miałem przy sobie, na bilet kolejowy, a za 10 gr. kupiłem gazetę. Gdy po przyjeździe do miasta szedłem do biura, wydałem znów połowę pieniędzy plus 20 gr. na depeszę. Wreszcie połowę pozostałych wydałem na autobus i kupiłem śniadanie za 30 gr. A teraz mam przy sobie tylko 10 gr. Powiedz mi, ile miałem pieniędzy, wychodząc rano z domu?".

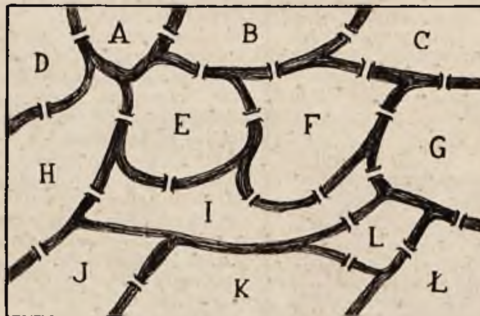
LICZBY KWADRATOWE.

Którą liczbę można dodać oddzielnie do 100 lub do 164, otrzymując za każdym razem w wyniku liczbę kwadratową?

ZEGAR RATUSZOWY.

Pewien pan przechodził koło ratusza między godziną ósmą a dziewiątą rano, według ratuszowego zegara. Gdy wracał między czwartą a piątą, zauważył, że duża wskazówka zajęła teraz dokładnie ranne miejsce małej, mała zaś stała dokładnie na poprzednim miejscu dużej. Którą dokładnie godzinę wskazywał zegar za pierwszym i drugim razem?

DWADZIEŚCIA DWA MOSTY.



Rysunek wskazuje schematyczną mapę okolicy z bogatym systemem kanałów i dwudziestu dwoma mostami. Pewien jegomość wyszedł z jednej z oznaczonych literami wysepek celem złożenia wizyty przyjacielowi, mieszkającemu na innej. Ponieważ miał dość dużo czasu, więc postanowił odbyć przy okazji spacer, podczas którego przeszedł przez wszystkie dwadzieścia dwa mosty po jednym razie. Zadanie polega na wskazaniu wysepek, na których mieszkali dwaj przyjaciele. Należy pamiętać, że nasz jegomość wyszedł z własnej wysepki, przebył wszystkie mosty, nie przechodząc żadnego dwukrotnie i skończył spacer w domu przyjaciela.

MUCHA I AUTOBUS.

Z Poznania do Warszawy prowadzi szosa długości 300 km. Autobus A wyjeżdża z Poznania do Warszawy w południe, jadąc z szybkością 50 km na godzinę. Równocześnie autobus B wyjeżdża z Warszawy do Poznania, z szybkością 100 km na godzinę, a wraz z nim wylatuje mucha, robiąc 150 km na godzinę. Gdy mucha spotkała autobus A, natychmiast zawróciła do B. Kiedy mucha spotka się z B?

GDY ARTYSTA FILMOWY SIĘ ŻENI.



Gwiazdor filmu do swego „double'a": — Dzisiaj nie będę potrzebował pańskiej pomocy!

BRAT I SIOSTRA.

Chłopczyk, zapytany o swoje i siostry lata, odpowiedział: „Trzy lata temu byłem siedem razy starszy od mej siostry, dwa lata temu cztery razy; zeszłego roku trzy razy, a w tym roku jestem od niej starszy dwa i pół razy". Po ile lat mają oboje?

HUMOR ZAGRANICZNY



Mały dramat domowy w trzech aktach

To warto poznać...

NA SCENIE.

Mamy obecnie do zanotowania dwa ciekawe wydarzenia teatralne w **Poznaniu**. Obie sceny dramatyczne, Teatr Nowy i Teatr Polski, dały dwie bardzo wartościowe premjery.

W Teatrze Nowym wystawiono **„Różę“** Stefana Żeromskiego. O wielkim nakładzie pracy i wielkich rezultatach artystycznych świadczą najwymowniej sprawozdania recenzentów poznańskich, bynajmniej nie skłonnych do entuzjazmów i pochwał. Jerzy Koller m. in. pisze: „Na tę scenę wstąpił duch świeży, duch młodości, zapału, szlachetnych górnych ambicyj, wre tam rzetelna praca, uwieńczona poważnemi rezultatami... Samą myśl wystawienia „Róży“ Stefana Żeromskiego uważamy za bardzo śmiałą, może nawet zuchwałą, jeżeli się weźmie pod uwagę warunki i środki, w jakich i jakimi pracuje teatr przy ul. Dąbrowskiego. Jeżeli natomiast chodzi o poziom przedstawienia, o oprawę dekoracyjną, przygotowanie reżyserskie, wykonanie aktorskie, należy z całą radością stwierdzić, że dawały one maksimum tego, czego od Teatru Nowego miało się oczekiwać i żądać. Było to widowisko, którego wstydzić się nie miałaby powodu żadna, dużo pod każdym względem zasobniejsza scena, przeciwnie, którem szczycić i zapisać na koncie swych plusów, mógłby każdy bez wyjątku teatr, nawet nie prowincjonalny...“.

Krytyka poznańska stwierdza, że pomysłową, interesującą i dobrze dostosowaną do warunków była inscenizacja i oprawa malarska Janiny i Juljusza Balickich, a celową ilustracja muzyczna Jerzego Młodziejowskiego. — Sztukę dobrze wyreżyserowała Nuna Młodziejowska. Wielką rolę Czarowica odtwarza idealnie dyr. Lubicz-Lisowski, opanowany w grze i skupiony, operujący szlachetnym głosem. Doskonałą jego partnerką w roli Krystyny jest J. Zaklicka, która potrafiła fenomenalnie wczuć się w psychikę i styl zewnętrzny epoki. Dużo siły i dramatycznego wyrazu mają dyr. Brem (Anzelm) i J. Balicki (Oset). Ponadto bardzo dobrze grają Kwiatkowska (Nastka), Przystański (Bożyszcze), Wasilewski (naczelnik ochrany), Piotrowski i Purzycki.

Na scenie **Teatru Polskiego** ożyła wielka szekspirowska poezja, arcydzieło komedji: **„Wieczór Trzech Króli“**, który otrzymał świetną oprawę reżyserską, dekoracyjną i aktorską. Zasługa to przedewszystkiem reżysera Bronisława Dąbrowskiego, dekoratora Z. Szpingiera, oraz całego zespołu z Rosłanem, Noskowskim, Jaworskim, Gryf-Olszewską, Łabuńską i Porębską na czele.

Oba przedstawienia stały się wielkiem świętem poezji na scenach poznańskich.

(h).



Hanka Brochocka, obecnie artystka Teatru Miejskiego w Grodnie, dzięki wyjątkowej urodzie i nieprzeciętnemu talentowi wybija się na czoło młodego pokolenia aktorskiego. Artystka odniosła wielkie sukcesy w rolach takich jak Gerti w „Trafice pani generałowej“, Mazie w „Artystach“ lub Jenny w „Pierwszym występie Jenny“.

NOWE KSIĄŻKI.

Znakomity anglista, prof. U. J. dr **Roman Dyboski** opracował z racji przypadającej w r. b. setnej rocznicy dickensowskiego „Klubu Pickwicka“ niezwykle interesującą książkę o tym powieściopisarzu, którego poczytność mimo tak zmienionych warunków wydaje się nigdy niegasnącą i wręcz nieśmiertelną. Powieści Dickensa czytywane są wciąż zarówno przez młodzież, jak przez starsze pokolenie i wszyscy znajdują w nich niewygasłe wartości świetnej psychologji osób, nieśmiertelnych typów, humoru, tego właśnie „dickensowskiego“ i fabuły choć „staromodnej“, ale jakże szlachetnie przykuwającej uwagę. W książce swej p. t. **„Charles Dickens“** — wydanej pięknie z portretem Dickensa przez **„Książnicę-Atlas“** — daje prof. Dyboski obraz życia świetnego pisarza na szerokiem tle historycznem, oceniając równocześnie wszystkie jego dzieła na tle współczesności Dickensa i naszej. Daje również interesującą charakterystykę tych różnych ocen w różnych latach i ich obszerny spis, jak też bibljografję przekładów Dickensa w języku polskim. Bardzo aktualne są uwagi dra Dyboskiego o stosunku elementu humoru Dickensa do humoru w nowszem powieściopisarstwie polskiem. Książkę Romana Dyboskiego czyta się z zainteresowaniem zgoła beletrystycznem.

* * *

Mamy do zanotowania dwa oryginalne i naogół udałe debjuty poetyckie, a mianowicie **Jacka Marji Orlika** i **Józefa Andrzeja Frasika**. Orlik wydał w Janowej Dolinie zbiorek poezyj p. t. **„Nad Polesiem cisza“**, a Frasik w bibljotece **„Okolicy poetów“** Stanisława Czernika w Ostrzeszowie zbiorek **„Łąkami w górę“**.

W wierszach Orlika doskonale uchwycona jest cisza i monotonja poleskiego krajobrazu, szarość jego życia przekuta jest w zwrotki pełne polotu. Jest to pierwszy w naszej literaturze tomik wierszy poświęcony wyłącznie Polesiu, tej krainie tak mało znanej nawet u nas, w Polsce. Z. debjutu Orlika można wróżyć mu piękną przyszłość poety.

Frasik daje w swym zbiorze męskie, dojrzałe utwory przeważnie wiejskie, chłopskie, z przyrody i życia ciężkiego, twardego wsi polskiej doby obecnej. Są tam także wiersze o wyraźnej nucie społecznej, o pracy robotnika, o doli chłopa. Charakter ich jest jednak raczej liryczny i mam wrażenie, że forma ich, twarda, zwięzła, „nowa“, nie jest jednak całkiem dla poety tego wygodna — może większa rozlewność, mniejsza kondensacja przydałaby więcej wdzięku tym pięknym utworom, wykazującym poważny talent poetycki.

w. z.



NIEDZIELA — dnia 22 XI.

- 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
- 10.30 Koncert rozrywkowy z udziałem Janusza Popławskiego (płyty).
- 12.03 Poranek muzyczny.
- 14.00 Reportaż z życia.
- 14.30 „1000 taktów muzyki“.
- 15.30 Audycja dla wsi.
- 16.30 „Szkoda wąsów“ — suita staropolskich obyczajowych piosenek z końca XVIII wieku.
- 17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie“.
- 19.00 Fragmenty z „Godów weselnych“ Palestra.
- 19.30 „Przebłyski idei kolonjalnej w w naszej literaturze“ — szkic literacki.
- 19.45 Muzyka salonowa.
- 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali“.
- 21.50 Koncert w wykonaniu Orkiestry Marynarki Wojennej.
- 22.35 Muzyka taneczna.

PONIEDZIAŁEK — dnia 23 XI.

- 11.30 Audycja dla szkół.
- 12.03 Koncert w wykonaniu Zespołu Haliny Adamskiej.
- 12.40 „O świetlicach dla dziewcząt“, pogadanka.
- 15.15 Muzyka lekka.
- 15.55 „Wszystkiego po trochu“ — audycja dla dzieci.
- 16.30 Koncert orkiestry mandolinistów.
- 17.00 „Skarb w odrodzonej Polsce“ — odczyt.
- 17.15 Koncert solistów.
- 19.00 Audycja żołnierska.
- 19.30 Enrico Caruso (płyty).
- 20.00 Mikołaj Rimskij-Korsakow: Szeherezada — muzyka baletowa.
- 21.00 „Pieśń i poezja robotnicza“ — wieczór literacki.
- 21.30 Muzyka taneczna.
- 22.00 Koncert na chór i orkiestrę smyczkową.
- 23.00 Muzyka taneczna.

WTOREK — dnia 24 XI.

- 11.30 Audycja dla szkół.
- 12.03 Orkiestra Edith Lorand (płyty).
- 15.15 Muzyka dla dzieci.
- 16.30 Pieśni Niewiadomskiego.
- 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich“ — powieść mówiona.
- 17.15 Utwory kameralne na skrzypce i fortepian.
- 17.0 „Koń trojański“ Marjana Hemara — fragmenty.
- 19.00 „Dyskutujmy“.
- 19.20 „Juvenes dum sumus“ — audycja literackomuzyczna.
- 20.15 Koncert symfoniczny.
- 22.30 „Kwandrans poezji“.
- 22.45 Muzyka taneczna.

ŚRODA — dnia 25 XI.

- 11.30 Audycja dla szkół.
- 12.03 Kwartet Zygmunta Schatza.
- 15.15 Utwory Rio Gebhardta w wyk. Malej Orkiestry.
- 16.10 „Gdy wielcy ludzie byli mali“: „Mały Mozart“ — słuchowisko.
- 16.40 „Jesień w pieśni“ — w wykonaniu Ireny Cywińskiej.
- 17.00 „O pracy dla żołnierzy zwolnionych z wojska“ — odczyt.
- 17.15 Koncert chóru ukraińskiego.
- 17.50 „Miesiąc Polaków“ — felieton.
- 19.20 Krzysztof W. Gluck: „Orfeusz“, opera w 3-ch aktach.
- 21.00 „Opowieść o Chopinie“ — wieczór IV.
- 21.45 Louis Spohr: Oktet E-Dur op. 32.
- 22.20 Eksperymentalny Teatr Wyobraźni: „Głos z oddali“.
- 23.00 Muzyka taneczna.

CZWARTEK — dnia 26 XI.

- 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
- 12.03 Posłuchajmy naszych piosenkarzy.
- 15.15 Zespół Pawła Rynasa.
- 16.35 Muzyka skrzypcowa (płyty).
- 17.00 „Uniwersytet w każdym mieście“ — odczyt.
- 19.00 „Dookoła miłości“ — operetka w 3-ch aktach.
- 20.30 „Z wędrówek po prowincji“: „Kalisz“ — pogadanka.
- 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich“ — Juljusz Zarębski.
- 22.00 Koncert w wykonaniu Zespołu „Almar i Ottmar“.
- 22.30 Muzyka lekka i taneczna.

PIĄTEK — dnia 27 XI.

- 11.30 Audycja dla szkół.
- 12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
- 15.15 Wiązanki jazzowe (płyty).
- 16.30 Koncert.
- 17.00 „Z podróży do Hiszpanji“ — felieton.
- 17.30 Utwory fortepianowe Mendelssohna-Bartholdy.
- 18.50 „Darowizna“ — felieton prawno-społeczny.
- 19.00 „Dusze gołębie“ — dialog miłośników gołębi.
- 19.20 „Z pieśnią po kraju“.
- 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.
- 22.30 „Nie tak prędko panie Drucik“, skecz.
- 22.45 Muzyka taneczna.

SOBOTA — dnia 28 XI.

- 11.30 „Śpiewajmy piosenki“.
- 12.03 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R.
- 15.15 Muzyka węgierska.
- 16.15 Koncert Orkiestry Wileńskiej.
- 17.00 Koncert solistów.
- 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
- 19.30 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
- 20.30 „Nowości literackie“.
- 21.00 Koncert kameralny.
- 21.30 Łódzka orkiestra salonowa.
- 22.00 „Wesoła Syrena“: — „Telefon usprawnia życie“.
- 22.30 Muzyka taneczna (płyty).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.